Nr. 20. Poznań, Niedziela 12go Sierpnia 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

„Ale co dalej?!“

„Orędownik“ na zapytanie z naszej strony, „czego właściwie chcą przywódzcy stronnictwa ruchu ludowego“, dał nam taką odpowiedź: „Na pierwszem miejscu swego programu postawił (ruch ludowy) utrzymanie bytu narodowego i rozwój jego o własnych siłach, własną pracą i własnym rozumem politycznym“. Gdyby ktoś ogłosił konkurs na napisanie najlepszego programu politycznego dla naszej dzielnicy, jesteśmy przekonani, że każda z nadesłanych prac konkursowych zawierałaby w sobie powyższą sentencyą — bez względu na to, do jakiego obozu autor się zalicza. „Nauka dawną była, szło o jej pełnienie“ jak to powiada pan podkomorzy w „Panu Tadeuszu“, wszystko to dawne, znane komunały, które każde stronnictwo nasze wypisywało i wypisuje jeszcze na swym szyldzie. Ale „co dalej“? można się zapytać „Orędownika“ własnemi słowy?

„Celem osięgnięcia powyższego zadania — odpowiada nam jakby od niechcenia organ „ruchu ludowego“ — ruch ludowy będzie się trzymał sposobów i środków prostych, *rzetelnych*, a stronić będzie od dróg sztucznych, łudzących, zwodniczych i od krzykactw“. to ma znaczyć, że inne stronnictwa (oczywiście na pierwszem miejscu owa bête noire, „partya dworska“) używają sposobów i dróg krętych i nierzetelnych, że tylko łudzą, zwodzą i krzyczą w przeciwieństwie do Arystydesów „Orędownika“ i jego stronnictwa! Ale „co dalej?“

Przypuśćmy, że tak jest, to prosilibyśmy o specyfikacyą tych dróg i środków prostych, a rzetelnych — możebyśmy na tej drodze przyśli do jakiego porozumienia! Boć przecież jasną jest rzeczą, że jeżeli stronnictwo zamierza zdobyć dla siebie przeważny wpływ na całe społeczeństwo, powinno uważać propagowanie i popularyzowanie tych „środków i dróg“ za właściwy swój cel odróżniający je od innych stronnictw. Na jasności tych środków opiera się program stronnictwa — sentencya ogólnikowa zapożyczona chociażby od Staszyca, Marcinkowskiego i innych powszechnie uznanych powag posiada tylko wartość premisy programu. Ale jest to już rysem znamiennym naszych stronnictw, i reprezentujących je pism, że te w ornamentyce komunałów gubią właściwy swój cel — i że zawsze tam jest coś „niedopowiedzianego“. Nie wchodzimy w powody tej niejasności. Może być, że umyślnie to czynią, a może i dla tego, że sami nie wierzą w oryginalność swych pomysłów. Bądź — jak chcesz — ta niejasność — i to „coś niedopowiedzianego“ otwierają wrota domysłom, i na zasadzie tych domysłów przeciwnik przeciwnikowi imputuje programy. Publiczność zna je tylko we formie przez przeciwnika sparodyowanej — a nie posiadając dostatecznej kontroli, bo pism z drugiego obozu nie czytuje, bierze trawestyą za pierwotwór. Ztąd się tworzą legendy o celach naszych stronnictw; za czem idzie, że w imaginacyi czytelników naszych gazet przedstawia się nasza dzielnica jako widownia walki między „prusofilami“, „zaprzepaszczającymi ideały narodowe“, a „szowinistami, pchającymi naród w otchłań sprzysiężeń i powstań,“ pomiędzy „zacofaną szlachtą, ogłupiającą lud, żeby nad nim, jak za dawnych czasów panować“, a „socyalistami, wichrzycielami, podżegającymi w stylu anarchistów lud przeciw szlachcie i inteligencyi“. Są to tylko legendy, osnute na pozorach, a jednakże te kłamstwa stały się hasłami w czasie walki wyborczej roku zeszłego.

Gdybyśmy posiadali stronnictwa o jasno wytkniętych celach i prasę popierającą te cele, staczalibyśmy z pewnością ze sobą walki nie mniej zacięte; jednakże przekonani jesteśmy, że solidarność narodowa w tej walce nie doznałaby uszczerbku. Programy naszych stronnictw zamiast się wykluczać, uzupełniałaby się nawzajem, bo wychodząc z wspólnego założenia t. j. z konieczności obrony narodowości naszej w obec wspólnego przeciwnika, podawałaby najskuteczniejsze w rozumieniu swem środki ku tej obronie.

W solidarności stronnictw nie zginęłaby solidarność nasza, ale zaniknąć ona może, jeżeli stronnictwa dzisiejsze, a raczej koterye, bez jasno wytkniętych celów, utrzymywane będą w solidarności fakcyjnej nie miłością sprawy publicznej, ale uprzedzeniami jednych do drugich.

„Orędownik“ pisze, że „życzliwi“ ruchowi ludowemu postawili się tak, żeby być „w odpowiednim dystansie od tego ruchu.“ Niezupełna prawda! Życzliwi trzymali się w prawdzie w odpowiednim dystansie w pewnym stadyum *walki wyborczej* i to wtedy, gdy przeciwnicy zaczęli się na dobre obrzucać błotem, ale postawili się w takim dystansie dla tego, bo obawiali się, żeby kawały tego błota nie spadły i na nich. Ztąd ta ich rzekoma „lękliwość“.

„Życzliwi“ — niech o tem będzie przekonany „Orędownik“ — nie będą się narzucali na przewódzców ruchowi ludowemu — konkurencya obecnie niemożebna; ale z prawdziwą przychylnością obserwować go będą, bo w nim widzą coś więcej dodatniego, niż sam „Orędownik“ przypuszcza — jakąś siłę elementarną, która wywołuje ruch ludowy o dążeniach demokratyczno-narodowych tak dobrze u nas, jak i w całej zachodniej Słowiańszczyźnie. Są jednakże zdania, że dopóki ten ruch nie wyda z łona swego człowieka, kogoś w rodzaju Parnella, któryby pragnieniom jego nadał wyraz odpowiedni i wszystkim zrozumiały, i przytem dał mu głowę, — stronnictwo tego ruchu nie okaże się jako czynnik polityczny, ani lepszem, ani gorszem od wszystkich naszych koteryi. „Orędownik“ nam przyzna, że miejsce dla takiego Parnella jeszcze wakuje w jego stronnictwie.

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Główny organ stronnictwa staroczeskiego „*Hlas Naroda*“ pisze:

„Z posłami młodoczeskimi i ich polityką dzieje się tak: jeden nad drugiego stara się być czerwieńszym, aby sobie zaufanie u wyborców zdobyć. Nie może też być inaczej, bo młodoczesi w tym duchu wyborców swoich wychowali. Teraz choć wiedzą, że źle robią, żaden nie ma odwagi wypowiedzenia prawdy, każdy się przed tem cofa. Dziś atoli ludzie ci wiedzą, do czego naród doprowadzili. Polityka młodoczeska do niczego nie doprowadziła i każdy musi przyjść do przekonania, że jest zgubną i szkodliwą. Nawet ostatni manifest posłów młodoczeskich, wydany do narodu, zdradza się ze swojem zwątpieniem, bo panowie ci sami widzą, że dalszy postęp na drodze obranej do niczego nie doprowadzi. Młodoczesi są przeświadczeni, że zwrot musi nastąpić, to też do sztandaru czerwonego, pod którym służyli, dołączają sztandar fioletowy oportunizmu. Głos wewnętrzny wzywa ich do złożenia broni, co uczynić powinni dla dobra narodu.

„W tych dniach zwierzał się w kółku zaufanem jeden z najwybitniejszych członków stronnictwa młodoczeskiego, zaznaczając otwarcie, że posłowie czescy i Czesi wogóle stali się w polityce wewnętrznej zerem, nic nie znaczącem. W Wiedniu dziś na reprezentacyą czeską nikt nie zważa; uważają nas za piąte koło u woza. Dalej mówił poseł młodoczeski, że zmiana położenia jest konieczną. Ludzie kierujący naszą nawą polityczną, powinni ustąpić, powinien zniknąć wpływ „Narodnich Listów", teroryzujący wszystkich. Jako jedyną drogę wyjścia wskazywał ów poseł ujęcie steru kierownictwa przez dr. Riegera, który dotąd nie stracił zaufania i którego zasługi w obec narodu naszego żyją w pamięci wszystkich. Tylko dr. Rieger może nas znowu poprowadzić do zwycięstwa..."

* * *

W białogrodzkiej liberalnej „*Srbskiej Zastawie*" („Serbskim Sztandarze") znajdujemy szereg artykułów pióra Stojana Ribacara byłego ministra serbskiego, w którym tak krytykuje obecne stosunki:

„Obecnego ministerstwa nie można żadną miarą nazywać liberalnem. Nie było niem ministerstwo Simicza, tem mniej Nikolajewicza. Uwolnienie z więzienia dawniejszych ministrów liberalnych było akcyą, która wyszła od korony, wobec niej tylko zaciągnęli serbscy liberałowie dług wdzięczności.

„Zresztą polityka nie jest rzeczą uczucia, to też uczucie wdzięczności musi ustąpić na plan drugi, jeżeli zasad liberalizmu w rządach obecnych nie można się dopatrzeć. Niebezpieczeństwo, które liberałom groziło na ławach oskarżonych, nie może być większem od tego, któreby powstało, gdybyśmy naszem płaszczem okryli politykę dzisiejszą i ludność utrzymywali w mniemaniu, że ludzie liberalni siedzą na krzesłach ministeryalnych. Przewodnicy liberałów otwarcie koronie oświadczyli, że tylko tak długo będą popierać obecne rządy, dopóty leżeć będzie w ich interesie i nie będą sprzeciwiać się tradycyom stronnictwa. Liberałowie serbscy zawsze prowadzili politykę niedwuznaczną, rzetelną, nie byli nigdy spiskowcami, ani sprawcami przewrotów pawno-prańståwowych. Na dzisiejsze eksperymenta rządu godzić się nie możemy i otwarcie przyznajemy się do opozycyi.

„Jedynym naszym błędem było, iżeśmy tego nie uczynili wcześniej..."

* * *

Lwowskie „*Russkoje Słowo*" rozpisuje się o wystawie lwowskiej i jej znaczeniu polityczno-narodowem, jak następuje:

„Polska wystawa we Lwowie jest sobie wielką komedyą polityczną... Chodziło Polakom o to, aby światu pokazać, że Galicya cała, to Polska, że ta resztka Rusinów, która istnieje, czuje również po polsku i myśli po polsku, że dąży całemi siłami do zlania się z Polską w jednę całość... Taki cel wystawy był oznaczony z góry (!!!???), gdy powstała myśl jej urządzenia. W pierwszym rzędzie chodziło Polakom o uczczenie stuletniej rocznicy powstania Kościuszki, ku temu celowi urządzono panoramę racławicką w której przedstawiono owe jedyne zwycięstwo odniesione przez polskich powstańców nad wojskiem rosyjskiem.

„Dalej, starano się utrzymać charakter czysto polski wystawy, przyjmując demonstracyjnie Polaków z innych zaborów. Ażeby jej nadać cechę krajową i to ze względu na rząd austryacki, powiodło się komitetowi pozyskać kilku krótkowidzących Rusinów, którzy w wystawie udział wzięli. Ale na wystawie tak się Ruś przedstawia, że człowiek, naszych stosunków nieznający, musi się pytać: gdzież są Rusini? Ruś to chyba mała komórka przy chacie polskiej Galicyi!...

„Polacy spodziewają się, że im wystawa przyniesie tyle sławy, co wystawa czeska w Pradze. Ale w tem się mylą. Czesi, to naród zamożny, mając lud bogaty potrafili zadokumentować swoją potęgę, wyciągnąć z wystawy pożytek moralny. U nas inaczej. Ludność galicyjska, tak ruska jak polska, bosa, goła i głodna. Jej na sól nie starczy, a cóż pomyśleć o zabawie i demonstracych politycznych...

„Polacy chcą tą wystawą pokazać światu, że Rusin szczęśliwy, gdy może oblizywać półmiski pozostawione mu przez panów polskich (!!!???).

* * *

„*Slovenski Narod*" organ partyi młodosłowiańskiej pisze:

„Hrabia Hohenwart, do którego należy większość posłów słowiańskich, traci z dniem każdem na powadze i znaczeniu, które posiadał dawniej. Z Hohenwarta są niezadowoleni posłowie klerykalni i Słowińcy. Niewiele Hohenwartowi pomogło, że się za nim ujął krakowski „Czas" i posłowie polscy, o pomoc których prosił. Dawniejszy minister i mąż cieszący się tak wielkiem zaufaniem wśród Słowian południowych dziwić się musi, że znaczenie jego tak prędko zostało podkopane. Najprzód wyrazili mu wotum nieufności właśni goreńscy wyborcy, wprawdzie wójtowie powiatu tego pospieszyli z votum zaufania, ale nie zdało się to na wiele. Drugi raz wotum niezaufania odebrał Hohenwart przy głosowaniu nad przedłożeniami walutowemi. Teraz nic mu już nie pozostało, jak zrezygnować z pomocy swoich starych sojuszników i szukać jej u obcych. W sześciu miesiącach jest to już trzecie votum niezaufania, bo otrzymał je uprzednio od stronnictwa chrześciańsko-socyalnego. Przewódzcy konserwatystów muszą teraz nabrać przekonanie, że ich sojusz z lewicą, sprzeniewierzającą się wszelkim zasadom sprawiedliwości, nie przynosi korzyści moralnych, owszem pozbawia ich wśród obozu własnego poszanowania i ufności. *K.*

LITERATURA I SZTUKA.

Z poezyi najświeższej doby.

Miriam: Z czary młodości. Liryczny pamiętnik duszy. Wiedeń 1894.

W licznym zastępie poetów młodej generacyi p. *Miriam* nie jest nowicyuszem. Działalność jego na niwie poetyckiej, trwająca już od r. 1883 nadaje mu poniekąd prawo uważać się za przodownika naszych „najmłodszych", tembardziej, że zarówno teoretycznie jako orędownik najnowszych prądów poetyckich zachodu, jak i praktycznie jako popularyzator. Miriam wraz z p. A. Lange'm, znanym tłomaczem i autorem kilku utworów oryginalnych, zainaugurował tak zwany „dekadentyzm" polski, mający już sporo zwolenników pomiędzy młodszą „bracią Feba". Atoli nie ta część działalności Miriama stanowi podstawę jego popularności wśród tej publiczności polskiej, która się interesuje jeszcze poezyą i literaturą nadobną w ogólności. Zawdzięcza ją Miriam przedewszystkiem swoim wybornym przekładom, w których zapoznał nas z szeregiem utworów najwybitniejszego poety czeskiego *Jarosława Vrchlicky'ego* i innych mniej utalentowanych, ale również godnych poznania pisarzy czeskich, jak

---

4)

MOGIŁA.

LISTY I NOTATKI

MAURYCEGO ZYCHA.

(Ciąg dalszy.)

Tego poranka przechodził od żołnierza do żołnierza i zadawał na wyrywki pytania z katechizmu. Stanął przed wybladłym kurlandczykiem i zapytał:

— Kogo nazywamy wrogiem wewnętrznym ojczyzny?

Widać było wyraźnie, jak żołnierz skupiał uwagę i pamięć. Nadaremnie!... Obce wyrazy splątały mu się w mózgu... Stał wybladły i patrzał na wodza wytrzeszczonymi oczyma. Pipipios powtórzył pytanie:

— Kogo nazywany wrogiem wewnętrznym ojczyzny?

Żołnierz poruszył wargami i wyszeptał jakiś wyraz... Pułkownik powoli przesuwał w ręce laskę: srebrna jej gałka opadała nieznacznie ku dołowi. Powtórzył pytanie raz jeszcze głosem wyraźnie cieniującym sylaby i jakby żałosnym. Poczekał przez chwilkę, a nie otrzymawszy odpowiedzi, podniósł laskę i trzepnął nią obrońcę szerokiej ojczyzny. Karabin wysunął się żołnierzowi z ręki. To doprowadziło pułkownika do pasyi: szturchnął młodzieńca w piersi tak mocno, że tamten padł na wznak. Wtedy począł go kopać eleganckiemi butami, przeważnie w brzuch, choć i twarzy nie oszczędzał. Widocznie należy do ludzi, których widok krwi rozjusza, bo odszedł był już i znowu powrócił, aby zemdlonego raz jeszcze zdzielić obcasem. Nozdrza jego klasycznego nosa nerwowo drgały i różowe usta uśmiechały się melancholijnie. Zaprawdę, zaprawdę powiadam Ci, że trzeba było olbrzymiego tchórzostwa, aby nie podejść wówczas do niego i nie zarekomendować się wyraźnie:

— Mam honor przedstawić się. Jestem junkier 43 Astrachańskiego pułku piechoty, — taki i taki, — wewnętrzny wróg ojczyzny.

Nie podszedłem, rzecz prosta, bałem się natomiast pospołu z żołnierzami i feldfeblami, oczekując na moją kolej. Niestety — wódz odmówił mi nawet przyjemności współcierpienia z towarzyszami broni. Dostrzegłszy, że stoję na końcu szeregu, powitał mię uprzejmie i przemówił łaskawych słów kilka. Tak się prezentuje egzamin. A lekcye i repetycye? Feldfebel, a częściej *diad'ka*, siada na stołeczku przed jakimś analfabetą i każe mu powtarzać za sobą długie zdania kodeksu. Każdy wyraz opuszczony, albo przekręcony podpowiada uczniowi, bijąc go pięścią w zęby. Istnieje, możnaby powiedzieć, pewien rodzaj prawa zwyczajowego, dzięki któremu stary żołnierz odbija na zębach i obliczu rekruta szturchańce, które sam niegdyś otrzymał.

Po takiej lekcyi uczeń ze spuchniętemi policzkami idzie z nauczycielem na papierosa. Zaciągają się dymem szczypty grubego tytoniu, owiniętej w skrawek gazety i opowiadają sobie nawzajem pornograficzne klechdy ludowe („*zawietnyja skazki*") w najlepszej komitywie.

Po osiedleniu się w koszarach postanowiłem przedewszystkiem, jako humanista, zbliżyć się i zaprzyjaźnić z żołnierzami. Życzliwość ich pozyskałem sposobem wcale łatwym. Ponieważ nie jem z kotła, skarb państwa wypłaca mi, w zamian za strawę niezjedzoną, rs. jeden kop. czterdzieści miesięcznie. Sumę tę przeznaczyłem na mięso dla kolegów, to znaczy, że kucharz nabywa za te pieniądze dziesięć funtów mięsa i (*si fabula vera*) wrzuca je do wspólnego kotła. Jeżeli owe dziesięć funtów pokrajesz na trzydzieści kawałków, a każdy kawałek

Zeyera, Nerudy, Swiatopluga Czecha itp. Wykwintna formą tych przekładów zjednała Miriamowi ogólne uznanie czytelników, a krytyka czeska umiała ocenić zasługę, jaką tłomacz „Drahomiry“ położył około czeskiej literatury, przyjmując z prawdziwem uznaniem zbiorek oryginalnych utworów poetycznych Miriama, wydanych w przekładzie czeskim Neczasa w popularnej Biblioteczce powszechnej (Ustredni knihovna), wychodzącej w Pradze. W ten sposób publiczność czeska o kilka lat wcześniej miała sposobność ocenić talent Miriama, jako pisarza oryginalnego, aniżeli polska, która dopiero teraz w zbiorku zatytułowanym „*Z czary młodości*“ zyskuje sposobność zapoznania się z oryginalną twórczością Miriama.

Charakterystyka talentu Miriama przedstawia pewne trudności, z tego względu, że w ciągłym jego rozwoju znachodzą się niezupełnie jeszcze wyklarowane fazy. Chcąc skreślić wierną sylwetkę poety trzebaby ściśle i skrupulatnie śledzić za całą jego, — dziesięcioletnią — a w szczegółach często zmienną i różnorodną działalnością; wyjaśniać niektóre zwroty — przeskoki; do tego zaś potrzeba ustalonego sądu o różnych cechach jego talentu i stronach jego działalności, gdy tymczasem Miriam i wiekiem swoim i rzutkością swego umysłu mógłby zadać kłam wszelkim mozolnie wysnutym zdaniom i zwalić sąd każdy — z konieczności do pewnego stopnia hipotetyczny i na domysłach oparty.

Najświeższy zbiorek poezyi Miriama będący właściwie — jak wyżej zaznaczyłem, zarazem pierwszym zbiorkiem jego utworów oryginalnych dostarcza wprawdzie niezbyt wiele materyału do charakterystyki jego talentu, może jednak stanowić podstawę do krytycznego oświetlenia jego twórczości.

Głównie uderza nas w poezyach Miriama pewna rzeźwa, energiczna radość z życia, — „eine Lebensfreudigkeit“ — jakby to nazwali Niemcy, owo coś, na co, niestety, nie ma w naszym języku odpowiedniego, dosadnego określenia, a co się wyraża w słonecznej uciesze ze wszystkich objawów życia, w umiejętności odczucia jego powabów, w zachwycie nad jasną pięknością natury, mającym swe źródło nie w biernym optymizmie i bezkrytycznej ślepocie wobec nędz i bólów życiowych, ale we wrażliwości subtelnej na piękno i dobro. „Witaj mi, żywota wiekuiste wrzenie! — woła poeta, — witajcie, ukwiecone młodości krużganki; witajcie burze, cisze, zachody, poranki; witajcie barwy, tony, słońc i gwiazd promienie!“ Jako stające dęba rozhukane źrebce wznosi mu serce piersi, rwie je, szarpie, depce i orkanowem biciem: w pęd! w dal! w życiu! — woła. Wszystko woła! brzmi, dźwięczy: Ave, ave, vita! (str. 9). Z tą iskrą życia nieodłącznie idzie w parze tęsknota do walk, bojów, do ludzi, odrywająca go od łona przyrody, gdy na niem skłania głowę znużony namiętnościami i burzą, wstrząsającą mu piersi. Owa przyroda — to matka, to bóg, który koi utęsknioną duszę, uspokaja, łagodzi i pieści. W opiewaniu tej przyrody poeta czasem prawie wznosi się do wyżyn, na których dotąd niepodzielnie króluje Shelley; tyle w jego peanach szczerości i zapału; często jednak siła nie dorównywa zapałowi i poeta po chwili uniesień opada na niziny błahych refleksyi i ubolewa nad prozaicznością tego świata, nie umiejąc atoli przekonać i rozgrzać dla swoich uczuć czytelnika. Wojownicza pobudka, wyśpiewana przeciwko tym, którzy śmią twierdzić, że „dziś pono poezyi czas przeminął i że nowe dziś prądy grzmią“ i zarzucająca tym burzycielom, że ich wymarzone po setkach lat krwią, pracą i trudem zdobyte promienne słońce prawdy, to „zimne wiedzy słońce“ jak „mróz przez żyły wszystkim przeleciało“ i sprowadziło „czas straszliwych nędz na ziemi, bo serce w lód zastygło w ludzkiem łonie“; — przypomina nie formą wprawdzie, ale treścią dość banalne utyskiwania całej plejady wieszczków i płaczków, biadających nad rzekomym upadkiem poezyi. Prawda, że autor porusza także struny społeczne, ale czyni to w ten sposób, że za fakt, iż „jeden się pasie na bogactw złotym tronie, a milion mrze, choć płacze łzy krwawemi“ — czyni odpowiedzialnymi tych, którzy przyczynili się do zwycięstwa „zimnej wiedzy“ nad — poezyą (!). Gdzieindziej zadaje sobie poeta pytanie, gdzie jest pieśń taka, „co burzą szaloną nad tą wyziębłą kulą by przegrzmiała, od której ludzkość zadrgnęłaby cała, któraby w każde ugodziła łono? Czy jest pieśń taka? i czy skamieniała ludzkość jest zdolna przyjąć w pierś uśpioną coś, co nie będzie lalką wystrojoną, lub złotym kruszcem?“, a gdy szuka odpowiedzi — głos natury szepce mu do ucha: „Z serca śpiewaj, z serca!“ I głos ten niewątpliwie dobrze radzi. Poezya rzeczywista, ta właśnie, która płynie z serca i do serca zmierza, nie znikła i nigdy nie zniknie, byle tylko umiała ugodzić w to, czego najsilniej serca ludzkie pragną.

Większość, a właściwie z małemi wyjątkami wszystkie utwory Miriama, zawarte w zbiorku „Z czary młodości“ poświęcone są opiewaniu cudów natury. W oddaniu nastrojów duszy, wywołanych obrazami przyrody celuje Miriam prawdziwem natchnieniem. Często w kilku słowach umie zawrzeć najpiękniejszy opis natury, jak n. p. (na str. 25) opis ranku w górach:

I zwolna wschód się rozrumienił w dali,
Padł skier snop... drugi... patrz! i już się pali
Purpurą każdy szczyt.
W łzach rosy blaski zagrały tęczowe,
Ptak się na gnieździe ocknął, podniósł głowę:
To świt! to świt! to świt!

Na str. 31 opis zapadającej nocy, naśladowany z sonetów krymskich Mickiewicza, zbyt silnie przypomina oryginał; a motyw osamotnienia wśród wielkiej ciszy, w której wytęża (poeta) ucho w przestwór, w dal — i uchwycić nie może żadnego odgłosu, powtarza się w zbiorku kilkakrotnie (jak n. p. w opisie nocy na str. 50). Tu brak nowych akcesoryów i nieświadome zapożyczanie się u mistrzów słowa rażą czytelnika. Razić też musi ciągłe wygrywanie tego samego motywu, sprowadzające nużącą czasem jednostajność tonu, która utrudnia — powiedziałbym nawet uniemożliwia — przeczytanie całego zbiorku jednym tchem. Nie można tego oczywiście podnosić jako bezwzględny zarzut; — boć nie jest przeznaczeniem zbiorku poezyi raz jeden zaspokoić ciekawość czytelnika; z drugiej strony (być może) ugrupowanie wierszy podług treści czy tematu, na którym je osnuto, przyczynia się do pewnego ujednostajnienia wrażeń; bądź co bądź jednostajność tę czuć i pokonać ją trudno.

Jednakowoż są to usterki drobne, niknące w porównaniu z dużymi zaletami opisów Miriama, między którymi jedno z naczelnych miejsc przyznać należy opisowi stepów czarnomorskich (str. 57—62), pełnemu głębokiego odczucia przyrody i wolnemu od bliskich a łatwo nasunąć się mogących reminiscencyi. Zużytkowanie kontrastu pociągu kolei żelaznej jako pierwiastka cywilizacyi wobec potężnej stepowej przestrzeni — nadaje opisowi temu życie i interes, a końcowy ustęp poematu zasługuje na przytoczenie, jako wybornie skreślony obrazek podróżniczy:

Lokomotywa gwizdem daje znak przybycia.
Para szyn się rozbiega w setne krzyżownice;
Mijamy magazyny, latarnie, zwrotnice,
Ładowne towarami i puste wagony;
Łoskot kół potężnieje echami wzmożony.
Bieg pociągu wolnieje; w dali tłumem dachów,
Kopuł, wieżyc i s z p i c ó w, domów, świątyń, gmachów,
Śmieje się w słońcu miasto; chwila jeszcze — tonem
Innym gwiżdże maszyna. Stoim przed peronem.

---

na 160 części, to otrzymasz ten właśnie kęsek, jaki każdy ze współtowarzyszów w rocie, dzięki mnie, codzień przełyka. Takim kawałkiem „gawędziny“ można zdobyć przyjaźń ludzką... *mirabile dictu!* Przestali na mnie patrzeć z ironią, nazywać mię w oczy *panyczem*, a za oczy *polaczyszka*. Co prawda — zaimponowałem im oprócz tego wytrwałością w marszu, jazdą na welocypedzie (w narzeczu żołnierskiem *sabieda*) i oczarowałem sztukami gimnastycznemi. Czasami krztuszę się haniebnie, paląc po koleżeńsku machorkę, — no, ale cóż począć? Powrót do siarkowodoru, dziegciu, machorki, słowem do natury, daje mi przynajmniej niejakie zadowolenie moralne. To zadowolenie moralne jest zapewne jedną z samoobłud, jedną z pajęczyn, za pomocą których bezwiednie staramy się zatkać i zagoić wiekuistą ranę naszego serca, ranę ludzkości.

Tak. Obaczmyż teraz jak wygląda dr. Wilkin. Młodszym lekarzem w naszym pułku jest dr. Wilkin. Jest to młody jeszcze człowiek, ale już zdeklarowany suchotnik w agonii i zdeklarowany, g o r z k i, jak mówią rosyanie, pijanica w agonii. Warto go widzieć podczas rozmaitych rewizyi sanitarnych!..

Pewnego razu wieczorem ogarnęła mię okrutna, ckliwa nuda. Koledzy-junkrowie grali w karty, w szyby wiatr stukał i trzepał deszcz jesienny. Strzeliło mi do głowy nagle, postanowienie pożyczenia jakiejkolwiek książki, choćby medycznej, od Wilkina.

Poszedłem do niego. Leżał już w łóżku, a raczej w prochach i śmieciach starego siennika, nakryty szynelą oficerską. D i e ń s z c z y k wpuścił mię do izby niechętnie i stanął przy drzwiach w niepewności, jakby oczekiwał, że „d o c h t u r“ wyrzuci mię za drzwi, bez żadnej zwłoki. Wilkin podniósł głowę, patrzał na mnie błędnym wzrokiem z pięć minut i wyciągnął wreszcie rękę podobną do badyla łopianu. Wskazał mi ruchem głowy miejsce obok siebie na łóżku (żadnych stołków nie ma) i skinął na służącego, aby się wynosił. Skoro zostaliśmy sami, zapytał obcesowo:

No i cóż tam, marzycielu? Źle wszystko idzie?

Zdębiałem nieco i poruszyłem się niecierpliwie.

— Dla czego nazywasz mię marzycielem, doktorze? — zapytał z energją.

— Bo to z oczu widać, — odpowiedział spokojnie.

— Nie rozumiem . . .

— Dajże pokój, młodzieńcze! Wiem ja dobrze gdzie raki zimują . . . Rubel kopiejek czterdzieści na mięso dla soldatów oddaje i pyta jeszcze: a dla czego nazywasz mię, doktorze? . . Lepiej byś poszedł za te pieniądze do jungfrau, — no, potem przyszedł byś do mnie, to swoją drogą . . . Ja mam dobre serce . . . Może złopniesz szklaneczkę?

— Ha, jeśli doktór masz gorącą herbatę . . .

— Herbatę? Kiełbaśniki tylko herbatę pijają. Wódki mówię, szklaneczkę złopnij! To jest najlepsze lekarstwo na wszelkie arkadyje i te rozmaite współczucia . . , Na mięso żołnierzom rubel czterdzieści! . .

Ładny kawaler w pułku! Filantropije zaprowadza, a, kto jego wie, może i samą komunę wystrychnie. Gadaj! Może ty, Jean Jacques, każesz nam wszystkim jednakową ilość mięsa jadać i będziesz na wszystkich jednakową ilość kieliszków gorzałki wydzielał, a? co? A wiesz ty o tem, że kucharz za twoje pieniądze trzydzieści razy do jungfrau pójdzie, a później znowu do mnie! . .

Skaranie boskie! . . .

— Sam doktór pijesz za dużo, — rzekłem okrywając szynelą jego obnażone nogi.

— Co ty powiadasz młody centurionie? Za dużo piję? A czy ty wiesz, przeklęty Polaku, co powiedział sam Iwan Siergiejewicz Turgieniew? Powiedział: „kubeł czystej wódku sciskając całą pięścią, czoło wsparłszy w biegun północny, a pięty w Kaukaz, śpi snem nieprzespanem ojczyzna, Rosya święta!“ Znakomicie powiedział filantrop Iwan Siergiejewicz . . . Należy spać, aby złopać, a złopać aby spać. Na tej osi święta ojczyzna stoi. A zresztą jakże można inaczej?

Trzask drzwiczek otwieranych, powitań okrzyki,
Wołania posługaczy, skrzyp ich wózków dziki.
Syk wypuszczonej pary, wrzawa rozmów, śmiechy,
Wszystko spływa w gwar wielki, podwojony echy.

Bardzo małę część książki Miriama zajmują temata od wieków szczególniej umiłowane przez wyznawców Apolla: jak miłość i tęsknota. Miłosne wiersze Miriama o wiele mniej posiadają ciepła i szczerego uczucia, aniżeli jego opisy przyrody, jakkolwiek zaznaczyć trzeba, że jak wszystkie utwory tego poety cechuje i te wytworna forma, a obok niej lekkość i wdzięk niemały (por. str. 80. 85 — 88) tam nawet, gdzie wyrażają żal za utraconym ideałem miłosnym. Wogóle sprawia „miłosna męka“ poety wrażenie niezbyt dotkliwych udręczeń, a poświęcone jej wiersze czynią raczej wrażenie ustępstwa na rzecz ogólnie uznanego zwyczaju, aniżeli objawu rzeczywistej potrzeby serca.

Walki życiowe, do których poeta — jak wyznaje sam — czuje się pociągniętym mimo swej woli i chęci, wywołują u niego nieraz poważne, głębokim pesymizmem zaprawione refleksye. W poglądzie swoim na świat i ludzi Miriam nieraz za daleko daje się unosić, czy to oburzeniu na nieprawości ludzkie, czy też zwątpieniu na myśl o ludzkiej niemocy. Na progu życia stojąc śród ciągłych przeobrażeń świata, jako zbłąkany w tumanów oponie, napróżno pyta, gdzie port upragniony, przed „jakim bogiem mógły ugiąć czoła, westchnieniem ulżyć piersi udręczonej“. — a przerażeniem przejmuje go głos wołający z „otchłani zwątpienia“: „Walcz! jeśli upadniesz, zdepcą cię miliony“. Wielka, święta, potężna ludzkość, ideał wymarzony poety — odsuwa się od rzeczywistości. Walka człowieka z człowiekiem niszczy wszelką ułudę; pod przemocą zwątpień miłość wydaje mu się widmem nieuchwytnem, „życie — olbrzymiem świętem mordów i rzezi, droga ludzkości — wieczną, czarną nocą, a plemię nasze — plemieniem przeklętem“ (str. 170). Zaledwie wszedł w żywota przedsienia — już zwątpiały, spuszcza na piersi uznoją głowę; a choć się zrywa, szarpie, chce strząsnąć ten ciężar przygniatający mu serce, chce żyć, walczyć — napróżno! Zapada w mogiłę zwątpień i gorzkiem westchnieniem powiada o sobie:

Jak smutny los na progu życia
Utracić wiarę w swoją moc i siłę! (str. 173).

Tym samym duchem zwątpienia przejęta jest myśl poety o losie ludzkości:

Z zapałem biegnie ludzki ród
Do wiekuistej prawdy słońca,
Rwie się... lecz szał spienionych wód
W otchłań go ciemną strąca.

W obec tego w co wierzyć dzisiaj, gdy wszystko upada, w co wierzyć, kiedy błoto tryska aż do słonecznych promieni ogniska, gdy zwątpień jadem zatruta biesiada? (str. 181). Kędyż są skarby i cuda Palmiry? Kędy Egiptu wiedza tajemnicza? Kędy Meksyki, Indye i Tyry? Śladu po nich nie ma, choć wieść niesie, że tam więcej miano, niż my mamy i że przekroczono tam dalsze granice wiedzy, niźli za naszych czasów. Marność marności! Nic nie zostaje! Nic! W pyły i prochy wszystko powraca. Gdzież jutro ludzkie? gdzież jakaś otucha? —

Na to pytanie daje poeta odpowiedź lękliwą, twożną: „Chyba, że w śmierci nie jest koniec życia, że coś ocala się śród jej rozbicia, że człek znów żyje, walczy w świecie ducha!“ — Ale zaraz cofa tę odpowiedź zapytując na nowo: „Lecz o tem któż z nas wiedzieć może? Wierzyć możemy. Ale do przystani (wiary) nie powróci, nawet z mąk otchłani, ten. co na wolne wpłynął myśli morze.

W tem skołataniu uczuć i myśli, nie mając oparcia na wyrobionym poglądzie na świat i ludzkość poeta chwyta się nadziei jako ostatniego zdziebełka ratunku i chce sam i drugim każe wierzyć, że w najsmutniejszej wieków chwili nawet w sercach tych, co zwątpili, iskra snów nowych pod popiołem tleje (str. 213).

Tchnij na nią! Może noc ta się przesili,
Może świt błyśnie... Czyń i miej nadzieję!

Cała ta walka wewnętrzna, stoczona w warunkach zwykłych przesileń młodzieńczych, a opowiedziana z całą wymową głębokiego cierpienia, które zda się ogarnia wszystkie bole tego świata — jest oczywiście starą jak świat i może zainteresować jedynie formą, jaką jej nadaje poeta. U Miriama forma ta mimo całej wykwintności wiersza, którym M. włada z niepospolitą zręcznością, nie zawsze zadowalnia. Nie ma w jego wynurzeniach ciągłości w stopniowaniu walki duchowej, która powinna się rozwijać równolegle z ważnością zagadnień zaprzątających umysł i serce. Miriama ogarnia od razu cała skala zwątpień, na tle których snuje w nieskończoność swoje rozpamiętywania, tem bardziej jednostajni, im silniej uczuwać się w nich daje brak szerokiego, etycznego lub społecznego podkładu. Czytając poezye Miriama, na tle jego poglądów i refleksyi ogólnych osnute, nie odczuwamy bolów poety, które robią wrażenie czegoś nierealnego, urojonego raczej pod wpływem byrońsko-shelleyowskiego prądu, niźli z konieczności psychologiczną wynikające z psychicznego ustroju poety. Jest w nich bowiem dużo patosu, będącego widocznie wynikiem wzmiankowanych dopiero wpływów. Zamiast atoli podnieść, obniża on ton spowiedzi poetycznej nasuwając ciągle przypuszczenie, że cały ten byronizm — wzięty jest... z przesyconego nim powietrza, a nie z wnętrza zbolałej duszy.

Z tem wszystkiem indywidualność poety występuje w jego poezyach w całej pełni. A indywidualność ta interesująca, jako wykwit *fin de siècle'u* — w dobrem słowa rozumieniu. Natura wrażliwa, subtelna — i refleksyjna, odzwierciedlająca w sobie prądy najnowsze i ulegająca przeróżnym wpływom, a niestrudzona w poszukiwaniach za ideałem wyśnionym, objawia się w poezyach Miriama w tej tęsknocie za czemś nieuchwytnem i nie dającem się nawet określić, którą wyradza poczucie sprzeczności pomiędzy marzeniem a rzeczywistością i nieumiejętność przystosowania się do warunków prozaicznego bytu, będącą — zdaniem Ibsena (w Oblubienicy morza) nieomylną oznaką natur wyższych nad poziom codziennego żywota. U Miriama tęsknota ta znajduje ukojenie w umiłowaniu natury, która go napawa uczuciem szczerej radości, z życia w przyrodzie i dla przyrody. W tej głębokiej a szczerej miłości dla natury znajdują ujście wszystkie rzeczywiste i urojone cierpienia poety, jak znajdowały je w niej zawsze żałości największych poetów naszego wieku od Byrona i Shelleya począwszy, a skończywszy na wybitniejszych ich naśladowcach — dzisiejszych.

Dr. Ignacy Suesser.

BADANIA NAUKOWE.

Prądy społeczne i prawo.

I.

Że „wszystko płynie“ (*πάντα ῥεῖ*), to znaczy, że wszystko w ciągłym znajduje się rozwoju, że wszystko, co stare, zużyte, ustąpić

Jeżeli nie pić wódki, tylko herbatę, — zaraz filantropija, arkadja, a potem en avant marsz! z miejsca zamieszkania wprost na samotną wyspę Sachalin.

Ostry i gwałtowny kaszel przerwał jego śmiech nieprzyjemny. Zaledwie się uspokoił, znowu zaczął:

— Ot kolega pański, junkier Biezdonyszkin, ten ma głowę na karku! Wczoraj zaprosił mię i sztabskapitana Klukę na kieliszek do starych germanek. Poszliśmy i porządnie pałki zalali. Kluka okno wywalił i na czworakach poszedł do domu, a ja wytrwałem i Biezdonyszkin, wytrwał. Tęgi to łeb—ho—ho—ho! Wydał całe dwa ruble i doskonały poemat opowiedział. Jego ojciec, czcigodny nasz pop Anastazy Serafinowicz ma dwie córki — widziałeś? Maliny! Niewinne maliny!

Podniósł się i usiadł na posłaniu, parskając złym śmiechem.

— Powiada junkier Biezdoniszkin takie słowo: oto ostatnie trzydzieści kopiejek . . . Ej, niemka! dawaj karafkę gorzkiej! Pytam ja tego młodzieńca jakim on sposobem taki gruby grosz zdobywa. Oto jak zdobywam, — woła on z zapałem. Przyjdzie do starszej siostry, Olgi Anastasjewny, sztabskapitan Izmaiłow, — ja jemu drzwi zastępuję i powiadam stanowczo: — dawaj, *wasze błahorodje,* rubel pięćdziesiąt na rękę, a nie, to — won,*wasze błahorodje!* A przyjdzie do młodszej siostry, Natalii Anastasjewny, podporucznik Płamienistow — ja go, sobakę, za hałc: — dawaj całe dwa ruble!

— Plotki. — rzekłem, spluwając.

— Plotki? — zawołał Wilkin i chwycił mię za ramię. Otóż ja pana przekonam pessymisto, że nie plotki! zaraz, jak tylko miesięczną pensyją otrzymam, dwa ruble asygnacyjne w garść biorę i idę do Olgi Anastazjewny. Dwa ruble asygnacyjne dla cerbera, a tam — choćby całą pensyę! A ty siedź i gryź swego Marxa, przeklęty wrogu ojczyzny!

Zmięszałem się bezprzykładnie i wstałem, aby wyjść coprędzej. Było mi duszno i dziwnie głupio. Doktór na przemiany kaszlał, albo chichotał. Gdy wyciągnąłem do niego rękę na pożegnanie, ścisnął ją mocno i zmusił mię, abym znowu usiadł.

— Przyszedł młodzieniaszek, — zaczął znowu mówić ze śmiechem. — aby słowo powiedzieć a drugie usłyszeć, aby przenajświętszą, pierwszą łzę młodości nad krzywdą i nędzą ludzką wypłakać na piersi braterskiej, a ja jego obuchem w ciemię! Nie mędrkuj, juvenis, nie współczuj! Nie wolno! Wyszedł z ósmej klasy, wprost od Wilhelma Tella, z broszurek się nassał miodu, przeróżnych *égalité, fraternité,* a tu Pizipios pokazał mu to co za ryba *fraternité* . . . Gorzko i głupio — a? To nic nie szkodzi . . . Co dla moskala zdrowo — to dla niemca śmierć! Prawda, pan nie jesteś moskal, ani nawet nie niemiec . . . Wszystko jedno zresztą, a nawet tem bardziej nie wolno marzyć, ani współczuć. Rozumiesz? Na to jest prawo, abyś pan, młody polaku, nie potrzebował zajmować się marzeniami. Ach, juvenis, juvenis! Myślisz, że pierwszy twój ból, pierwszy gniew i pierwszy domysł, to już jakieś kolosalne prawo . . . Poczekaj, parę lat przynajmniej racz się wstrzymać . . . Więcej zobaczysz rzeczy ciekawych. Myśmy widzieli niełtakie panoramy, a patrzajże, jak nam wódka smakuje i jak słodkiemi są nasze sny. Kiedy ja byłem w twoim wieku, szedłem wraz z innemi głuptaskami do wielkiego parobka, który śpi ze szklanicą wódki w garści i wołałem w chórze z kosmatemi i niemytemi kolegami: wielki parobku wstawaj, Ilja Muromiec bierz maczugę! Po odśpiewaniu tej kantaty uczestniczyłem w oglądaniu placu pod powszechny parlament . . . I patrzajże, jak się to wszystko ładnie skończyło: na parobku nie tylko nie ma śladu koszuli, ale mięso nawet objedzone aż do kości przez dobrze trawiące insekty, — a ten śpi, jak na bohatera przystało. Czasem tylko ze szklanki pociągnie, albo przez sen pod nosem zamruczy: *„Niczewo! Ça ne fait rien“* . . .

O parlamencie nawet dziwnie jakoś jest pod wieczór wspominać, ale za to nasi ministrowie już obejrzeli na szczycie Righi-Culm w Szwajcaryi miejsce pod gmach (po przyłączeniu zbunto-

musi temu, co młode, co życia pełne, — o tem wiedział już Heraklit, z pomiędzy filozofów starożytności najmodniejszy. Obecnie, — jeżeli nie mylą wszystkie oznaki, — kolej reformy przyszła na prawo karne. Szwajcarya pod tym względem stanęła na czele postępu cywilizacyjnego, uwzględniając w nowoprojektowanej reformie prawa karnego zarówno zdobycze nowszych czasów na polu antropologii kryminalnej, jako też potęgę nowoczesnych prądów społecznych. Za Szwajcaryą podążą wszystkie inne państwa europejskie.

Reforma, o której mówimy, nie odnosi się do pewnych jedynie paragrafów prawa karnego, lecz do jego podstaw teoretycznych. Dla tego reforma ta, jeżeli przeprowadzoną będzie bezwzględnie aż do ostatecznych konsekwencyi, równać się będzie zupełnemu przewrotowi. Na gruzach starej teoryi, zbudowanej na fundamencie abstrakcyjnych rozumowań, postęp nauk zbuduje gmach nowy, oparty na faktach rzeczywistego życia i jego potrzebach. Nauki prawnicze są bowiem — a przynajmniej być powinny, — naukami na wskroś praktycznemi i więcej, niż wszystkie inne, stosować się powinny do zmieniających się stale form życia społecznego.

W krótkich słowach określić można różnicę pomiędzy starą, a nową teoryą prawa karnego w sposób następujący: stara szkoła prawników pyta się przedewszystkiem: czem *w abstrakcyi* jest *przestępstwo*, i do kategoryi przestępstwa stosuje kategoryą kary; nowa szkoła stawia na pierwszem miejscu pytanie: czem *w rzeczywistości* jest *przestępca* i przeciw *osobie* przestępcy stosuje przepisy karne.

Czem jest przestępstwo? W czem leżą jego przyczyny?

Przestępstwo, mówi dawna, czyli, wyrażając się ściślej, dotychczasowa teorya prawa karnego, jest samowolnem naruszeniem dobra ogółu przez występne indywiduum. *Ostateczna jego przyczyna leży w złej woli danego osobnika.* Kara jest niejako wypływem zemsty ogółu i wymierza się dla odstraszenia na przyszłość przestępcy, oraz innych, podobnie złych indywiduów. Zanim odpowiemy na pytanie: czem jest przestępstwo? — mówi nowe, t. j. przyszłe prawo karne, — stwierdzić musimy przedewszystkiem, czem jest przestępca? Trzeba przypatrzyć się przestępcy, zanim określimy pojęcie przestępstwa, tak samo, jak obserwować trzeba ludzi chorych, by dać definicyę choroby.

A więc: czem jest przestępca?

W roku 1876 ukazała się książka *Lombrosa: „L'uomo delinquente“*. Lombroso był pierwszym, który na stare pytanie, nową znalazł odpowiedź. Czy prawdziwą? — to inna kwestya; dość, że dzieło uczonego włoskiego uważać trzeba za punkt wyjścia wszystkich późniejszych prądów, zmierzających do obalenia dawnej teoryi. Dzięki setkom artykułów popularnych, nauki Lombrosa znane są w szerokich kołach inteligencyi. Poprzestać więc możemy na podaniu wyników teoryi burzyciela włoskiego.

Są ludzie, którzy rodzą się przestępcami, zbrodniarzami. *Przestępca nie winien temu, że jest przestępcą.* On był nim już w łonie matki. Zewnętrznie poznać go można po pewnych anomaliach anatomicznych mianowicie w ustroju czaszki i mózgu. Lombroso zebrał wszystkie symptomaty, cechujące rzekomo urodzonego zbrodniarza i zbiór ich nazwał „typem zbrodniarza“. Odpowiedź na pytanie, czem jest przestępstwo, znajdujemy u niego w zdaniu: *„Przestępstwo jest naturalnym, czyli wyrażając się filozoficznie, koniecznym wypadkiem, takim samym, jak obłąkanie, którego odcieniem jest aż nazbyt często...“*

Wedle tej teoryi nie można wogóle karać przestępcy, bo karać można tylko winnego. Można tylko postarać się o to, aby ogół uchronić od grożącego mu ze strony zbrodniczej jednostki niebezpieczeństwa, t. j. zamknąć urodzonego zbrodniarza, najlepiej — wedle Lombrosa i jego uczniów — w domu obłąkanych.*)

Podczas, gdy w szerokich kołach ogółu inteligentnego, teorye Lombrosa niezmierną uzyskały popularność, uczeni, — zarówno lekarze, jak prawnicy, — zrazu wyczekujące, a po długich, wyczerpujących dyskusyach wręcz wrogie wobec nich zajęli stanowisko. Sceptycyzmem pod tym względem odznaczali się przedewszystkiem od samego początku uczeni niemieccy, za którymi poszli Anglicy, Francuzi, a nawet i Włosi.

W roku 1892 międzynarodowy kongres kryminalistów i antropologów w Brukseli, w którym udział wzięły wszystkie znakomitości europejskie, orzekł prawie jednogłośnie, że Lombrosa anatomiczny typ zbrodniarza rościć nie może pretensyi do realności. Odtąd spoglądanie z góry na Lombrosa w nauce prawniczej weszło niejako w modę**). Sam Lombroso większą część swych tez odwołać musiał. Lecz choćby wszystkie jego twierdzenia na polu antropologii kryminalnej wobec krytyki naukowej upaść miały, to zawsze pozostanie mu jedna wielka zasługa: że teoryę prawa karnego z „wyżyn“ abstrakcyjnego formalizmu, sprowadził na szerokie podstawy badań empirycznych. Ibsena „mistrz Solness“, powiada, że poznać chciałby wprzódy ludzi, dla których budować ma domy; Lobroso nauczył nas, że poznać trzeba przedewszystkiem gruntownie indywidualność przestępcy, by przez zastósowanie kary wpływ nań wywrzeć. Tem samem usunął zapory, które tak długo naukę prawa karnego dzieliły od rzeczywistości życiowej.

Dalsze postępy na drodze przez Lombrosa wskazanej zawdzięczamy założonemu w r. 1889 międzynarodowemu zjednoczeniu kryminalistów i międzynarodowemu kongresowi, odbytemu w roku 1890 w Petersburgu („Congrès international pénitenciaire de St. Pet.“).

Postęp ten polega na uwzględmeniu prądów społecznych, które całemu nowoczesnemu życiu duchowemu nadają piętno odrębne. Żadna nauka, która z życiem realnem w ścisłym pozostaje związku, nie może ich nadal ignorować.

Duszą „Zjednoczenia“ jest profesor *Liszt* z Halli, człowiek o wielkiej ruchliwości umysłowej i wielkiej energii. Wpływ jego w świecie uczonych prawników jest ogromny. Z pomiędzy młodszych profesorów uniwersyteckich większa część należy do jego gorących zwolenników. Tak więc nawet z katedry uniwersyteckiej słyszeć można wykłady o przyszłej, socyalnej teoryi prawa karnego. Ponieważ „Zjednoczenie“ wszelkich sił dokłada, aby ustawodawstwo popchnąć na drogę reform, więc wobec wielkiej powagi należących do niego uczonych, wątpić prawie nie można, że teorye Liszta niezadługo, jako ustawy, realną przybiorą postać.

Po częściowem odrzuceniu tez Lombrosa, młoda szkoła prawników na kardynalne zagadnienia teoryi prawa karnego: — czem jest przestępca, czem jest przstępstwo, w czem leżą jego przyczyny? — odpowiada w sposób następujący.

Przestępcy bez wątpienia noszą na sobie pewne piętna degeneracyi cielesnej i duchowej. Ale z jednej strony cechy te nie dają się tak ściśle określić, jak mniema Lombroso, i zachodzą u nie-przestępców, — z drugiej zaś strony są one wypływem stosunków socyalnych, wśród których żyją całe warstwy produkujące przestępców i zbrodniarzy. Ostatecznie każdy człowiek jest produktem otoczenia („milieu“), wśród którego żyje. A więc i zbrodniarz jest produktem *swego* otoczenia. W krótkich słowach: *przestępstwo jest zjawiskiem* **socyalnem**, *dowodem:*

*) Wszystko to odnosi się głównie do „przestępcy z nałogu“, czyli „niepoprawnego“.

**) Są wszakże wyjątki. Jeszcze w roku bieżącym ukazało się w języku niemieckim dzieło, stające w obronie tez Lombrosa: Kurella, „Naturgeschichte des Verbrechers.“

---

wanej Europy do naszej ojczyzny) powszechno-rosyjskiej na całą Europę jednej i nierozdzielnej komory celnej.

I będzie dobrze — niema obawy! Biją w twojej obecności w czerep, przetrącają gnaty, — to nic nie szkodzi. Siedź i chwal Boga za to, żeś szlachcic i za to, że tobie nikt piszczeli nie połamał.

A gorzko ci na sercu, bierz puhar z gorzałką i pij za pomyślne prosperowanie powszechno-rosyjskiej i ogólno-europejskiej komory celnej.

— Doktór się mylisz, — przerwałem ten potok dowcipów, — sądząc, jakobym ja był jakimś altruistą, czytał jakichś autorów ... Nie wiem nawet, co to znaczy. Staram się być dobrym żołnierzem . . .

— Zupełnie, jak ja! — zawołał patetycznie. I ja również staram się być niezłym lekarzem pułkowym. Bo i po cóż miałbym się wychylać ze skromnej, a tak poczciwej sfery środków przeczyszczających? Kiedy mi się troiło po głowie, że uczciwy człowiek nie powinien być w świętej Rosyi tylko urzędnikiem, — kazano mi zwiedzić Czelabisńk. Zwiedziłem i, wyobraź sobie — nie poskutkowało. Wówczas kazano mi pofatygować się do Bieriezowa. Uu — tam, bracie, we dwa tygodnie zmądrzałem! Czorta ze siebie zacząłem gorzałką wypędzać i oczyściłem się z grzechów tak zupełnie, że mi dla poratowania zdrowia pozwolono wyjechać na Kaukaz, wkrótce potem przyjęto mię do pułku, a kilka lat temu wyekspedyowano do kraju Priwislaskiego. Gdybym był zdrów zacząłbym może „współdziałać,“ ale teraz śmierć już przez parkan na moje podwórze zagląda.

Sięgnął po karafkę, nalał sobie pełny kubek i zaczął śpiewać półgłosem znaną piosenkę:

„Tam na Sybirze druhowie za nas konają“...

Wypił wódkę, postawił kieliszek na ziemi i zaczął wymawiać bez potrzeby t. z. *mocne* wyrazy rosyjskie... Twarz mu zzieleniała jeszcze bardziej, a w oczach tlił się coraz jaśniej pijacki entuzyazm.

— Widzisz, — bełkotał, — tak się przedstawiają moralne zwłoki *narodowolca*. Idź... nic nie rozumiesz... Śmierć idzie i ani jednego promyka nadziei... Podłość na podłości siedzi i łajdactwo pogania... Idź... czego patrzysz?...

Wyszedłem bez pożegnania z sercem ściśniętem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

2)

OSTATNI SEN.

(Dokończenie).

A w najciemniejszych zakątkach dolin, gdzie najwyżej wznosiły się i kłębiły tumany, ujrzał samotny wędrowiec korowody najemnicze, sługi i robotników tego świata — paryasów ludzkości. Z ich pracy powstały te złocone karety, atłasy, jedwabie, koronki, wieńce i kwiaty.

Te stosy złota na zielonych stolikach, miękkie kobierce, głuszące kroki biesiadników, kosztowne obicia na ścianach pałaców, wszystko to było dziełem ich krwawego potu — im samym brakło chleba. Jęczeli też jak pod zbytnim naciskiem pękające struny pod jarzmem żywota i głuchy pomruk, jak odległy grzmot zwiastujący nawałnicę przechodził szeregi nędzników. A żony ich na których czole wypisany był wyraz „niedola“ i dzieci marne niedorostki o bladych licach bez krwi i ognia młodości dźwigały porówno z mężami brzemię niewolniczej pracy,

pewnego rodzaju degeneracyi ustroju **socyalnego***). Belgijski profesor Prins, przewodniczący „Zjednoczenia“, myśl tę wyraził w następujących słowach: „Przestępca zarówno, jak człowiek uczciwy, zależą od swego otoczenia. Są stosunki społeczne, które sprzyjają zdrowiu moralnemu. W nich nie ma skłonności do przestępstw. Ale jest też „milieu“ społeczne. którego atmosfera jest zatrutą, zgniłą. które jest jakoby zbiornikiem niezdrowych pod względem społecznem żywiołów, w którem jak sadza w kominie, osiada zbrodniczość najpewnych jednostkach, w których skłonność do przestępstwa niechybnie zapłodnioną zostaje“...

Dowodów prawdziwości tego twierdzenia dostarzonych przez b dania statystyczne, przytoczyć można dużo**) Znaną np. ogólnie jest rzeczą. że zbrodniarze pospolici po największej części pochodzą z najniższych warstw proletaryatu, gdzie nędza ekonomiczna i brak oświaty wytwarzają ową zgniłą atmosferę, o której mówi profesor Prins. — Przestępstwa polityczne występują znów w przeważnej ilości w czasach ucisku politycznego (narodowego. religijnego) w tych właśnie warstwach, którym ów ucisk najbardziej daje się we znaki. — W wielkich miastach względna cyfra popełnianych zbrodni jest większa, niż w okręgach miejskich, co także tylko wpływami otoczenia wytłumaczyć można. — W czasach nieurodzaju, w czasach nizkiego zarobku powiększająca się nędza wśród proletaryatu, natychmiast wywołuje podniesienie się cyfry przystępstw. Toż samo działo się, ilekroć prawodawstwo sztucznie podnosiło ceny towarów spożywczych, konsumowowanych głównie przez klasy robotnicze — W statystyce kryminalnej prowincyi pruskich pod względem wysokości cyfr przestępstw przodują prowincye wschodnie, wykazujące szczególnie wielką ilość kradzieży; skargi posiadaczów ziemskich na wyjątkową skłonność do nieposzanowania siódmego przykazania ze strony naszych robotników rolnych wszystkim są znane. W czemże szukać powodów tego objawu, jeżeli nie w pierwszej linii w nadzwyczajnej nizkości stopy zarobkowej, która robotnika zmusza niejako do kradzieży? Że zaś pod względem kilku innnych kategoryi przestępstw prym trzymany w państwie pruskiem, temu znów winna ogłupiająca nauka w szkołach ludowych i wynikający stąd nizki poziom oświaty ludowej. — Związek pomiędzy dzieciobójstwem popełnianem przez matki niezamężne, a położeniem ekonomiczno-społecznem kobiety, mianowicie wśród klas robotniczych. jasno leży, jak na dłoni. —

Podczas strejków robotniczych wzrasta natychmiast ilość przestępstw w dotkniętych strejkiem okolicach: brak zajęcia, podniecona w wyższym stopniu nienawiść robotników ku kapitałom, dostatecznie objaw ten tłumaczą.

Jeżeli człowiek, jak roślina z ziemi, wyrasta ze swego otoczenia społecznego, — to droga ku ograniczeniu przestępstw jasno jest wytknięta. Rólnik ziemię wydającą owoc chory, stara się ulepszyć; — prawodawca, chcący ograniczyć ilość przestępstw, niechaj zabierze się do naprawy gruntu socyalnego, z którego one wyrastają.

Podniesienie dobrobytu materyalnego i oświaty wśród klas robotniczych wytworzą czystszą atmosferę moralną. To pryncypalny i jedynie radykalny środek przeciw szerzeniu się zbrodniczości. Leczenie takie jest jednakże mozolne, trudne i długiego wymaga czasu. Osiągnięcie rezultatów w dalekiej leży przyszłości. My tymczasem liczyć się musimy z wszystkimi niedomaganiami obecnego ustroju społecznego, a prawodawstwo do nich dostosować powinno prawo karne.

Skoro na przestępstwo zapatrywać się zaczniemy jako na konieczne zjawisko społeczne, *kara* wymierzona przeciw przestępcy, zupełnie nowy w oczach naszych przyjmie charakter. O „karze“ we właściwem tego słowa znaczeniu mowy być już nie może dla tego że mówić nie można o *winie* przestępcy, jeżeli zbrodniczość jego jest koniecznym wypływem degeneracyi ustroju społecznego „Tout comprendre. c'est tout pardonner“; kto wszystko rozumie, ten wszystko wybacza. „Kara“ w zrozumieniu młodej szkoły prawniczej traci znaczenie wymiaru sprawiedliwości. Nie jest ona teraz niczem więcej, jak aktem przezorności, środkiem obronnym społeczeństwa. „Kara“ zmierzać będzie do dwóch mianowicie celów: do *naprawy* zbrodniarza. do uczynienia z niego uczciwego tj. pożytecznego członka ludzkości, a powtóre do *zapobieżenia przestępstwu na przyszłość,* przez odpowiednie oddziałanie pedagogiczne na te osobniki, które żyjąc w zgniłej atmosferze moralnej wedle obliczeń rozumu ludzkiego wykierować się *muszą* na zbrodniarzy. Z wysunięcia na pierwszy plan interesów społeczeństwa, wynika dalej możliwe ograniczenia kar więziennych. Państwo, w dobrze zrozumianym interesie własnym, tj. interesie ogółu. gdzie tylko będzie mogło, unikać będzie wymiaru kary. Bo kara więzienna jest jako miecz obosieczny i wymaga ofiar materyalnych ze strony ogółu na utrzymanie przestępcy w więzieniu. niweczy dobrobyt, często zdrowie i życie jednostek i całych rodzin, i odbiera na czas pewien państwu część ogólnej siły roboczej. Miejsce wymiaru sprawiedliwości za popełnione przestępstwa zająć powinny w wielkiej części środki zaradcze, zmierzające do uniknięcia *przyszłego* przestępstwa. W zasadzie tylko przeciw „niepoprawnym“, jako dla ogółu niebezpiecznym osobnikom, zachowuje nowe prawo w całej surowości kary więzienne.

W oświetleniu, nowej, socyalnej teoryi prawa karnego traci więc pojęcie kary swe znaczenie etyczne, zyskuje natomiast znaczenie społeczno-wychowawcze.

Paweł Styczyński.

*) cf. Baer: der Verbrecher in anthropologischer Beziehung. Lipsk 1893.

**) Dotychczasowa statystyka kryminalna pod tym względem bardzo jest niedostateczna. „Zjednoczenie kryminalistów“ utworzyło komisyą. która wedle nowej metody starać się będzie o zebranie danych statystycznych co do charakteru socyalnego zbrodni i co do socyalnego otoczenia zbrodniarza. Statystyka ta wykaże do jakiego stopnia zawiniony i niezawiniony brak zawodu, zajęcia i zarobku jednostki popycha od zbrodni do zbrodni. Materyał przesłany będzie rządom państw cywilizowanych z petycyą o uwzględnienie w prawodawstwie.

Szkoła i wychowanie.

Wychowanie narodowe.

I.

Przy rozpatrywaniu każdej wychowawczej kwestyi, aby sobie jasny o niej pogląd wyrobić i nie stawać w sprzeczności z samym sobą, należy ją koniecznie zestawić z ogólnemi celami pedagogii i zasadniczemi prawdami, na których się w obecnym czasie metoda jej opiera. — Słowem, niepodobna żadnej specyalnej sprawy wychowania traktować w oderwaniu od całości, jeśli się nie chce poprzestawać na rzucaniu pustych frazesów bez znaczenia lub luźnych rad i morałów, niemożliwych do zastosowania.

Pedagogia, której celem jest przysparzanie światu jednostek pożytecznych i szczęśliwych, jedyną zaś do niego drogą wytworzenie warunków ich rozwijaniu się w tym kierunku sprzyjających, liczyć się musi z ogólnemi warunkami życia społeczeństw, rozumieć ich dążenia, potrzeby, ideały, śledzić drogę, po której ludzkość kroczy ku przyszłości — z drugiej zaś strony badać w naturze dziecka obok cech wiekowi właściwych, indywidualne, będące wynikiem dziedziczności, temperamentu i warunków zewnętrznych. Pedagog musi rozumieć jasno *dla czego* wychowuje, musi zbadać *kogo* wychowuje, a dopiero zestawienie jednego

---

targając siły żywotne w zawczesnej walce wśród niedostatku i poniżenia.

Czuli wszyscy, że krzywda dzieje im się na świecie i przeczuwali, że gdzieś w górze nad odwiecznemi mgłami musi jaśnieć słońce, wskazujące drogi ku lepszemu bytowi, ale nie mogli odwracać oczu od zatrudnień dających chleb codzienny, bo poginęliby z głodu. Pod wpływem tego ciągłego wytężania oczu na najbliższe przedmioty stępiał wzrok ich duszy, tak, że chociaż zwrócony ku górze nie mógł przebić grubej powłoki tumanów — i było między nimi straszliwie ciemno.

A gdy samotny wędrowiec patrzał z wzrastającem współczuciem na tę walkę bez nadziei, uczuł, że jakaś siła ciągnie oczy jego w inną stronę i ujrzał u podnóża sąsiedniej góry, gdzie mgły rzedniały, kobietę.

Podniosła ku niemu wielkie, błyszczące oczy, a jej szeroko rozwarte źrenice wskazywały, że dziwi ją widok tego człowieka stojącego samotnie po nad mgłami padołu i w blasku słońca. Potem, jakby ją wzięła tęsknota do tych wyżyn słonecznych, postąpiła drobną nóżką ku górze i z uśmiechem dziecinnej swawoli zaczęła wspinać się ku szczytowi. Jak płocha gemza skakała z kamienia na kamień, wznosząc się coraz wyżej, nie odwracając oczu od stromych przepaści i kalecząc białe rączki cierniami dzikich głogów. Z falującą piersią i różami na licach stanęła wreszcie na wierzchołku. Stali tak długo na dwóch przeciwległych szczytach z niemym podziwem zapatrzeni w siebie i uczucie nieznanej błogości ogarnęło ich serca. Zapomnieli o tym świecie ciemności, co szumiał nieprzerwanym gwarem pod ich stopami i z niezmierną tęsknotą wyciągnęli wzajem ku sobie ramiona. Zdawało im się, że znają się od lat wielu, że od lat wielu szukają się i dążą do siebie wśród obcego im świata. że znaleźli się. że nakoniec i pozostaną odtąd nierozdzieleni na wieki.

Miała swawolny uśmiech na ustach, jakby tę wycieczkę w górne krainy za zabawkę dziecinną uważała. Bawiły ją te szerokie przestworza powietrzne i rozległy jaskrawą łuną zachodu oświecony horyzont; wciągała pełnemi piersiami czyste powietrze wyżyny i patrzała z zalotnem upojeniem w oczy samotnego wędrowca.

On spoglądał na nią zadumany i tajemna obawa, co gryzła mu serce odbiła się niepokojem na licach. Z takiem uczuciem patrzy doświadczony ogrodnik na wiotką latorośl wychowaną w cieplarni, gdy widzi ją raz pierwszy wystawioną na wiatry i bystre słońce atmosfery.

Słońce zaszło i cisza wieczorna rozpostarła dokoła swe skrzydła. — Przemówili do siebie, pytając wzajemnie, z jakich, światów są i na jakich podstawach byt swój opierają.

Na tle zachodniego nieba odbijały się czarem nieporównanym wyniosłe kształty jej ciała — słowa jej pełzały po szarych nizinach powszedniego żywota. Wzięła byt swój ze zbytku i miękkości i dusza jej nie umiała oderwać się od nich. Nie rozumiała wielkich zagadnień ludzkości, pnącej się po ciernistej poświęceniem znaczonej drodze ku nieznanym wyżynom. I wielka nędza milionów nie znajdywała w jej duszy oddźwięku. Fale nowych wyobrażeń, co szumiały głęboką pieśnią nad światem. odbijały się o jej serce bez echa. Nad błysk ducha, co tryska z tajemnych głębin źródłem świetlanem i porywa umysły ludzkie za sobą jak wiatr chylące się kłosów dojrzałych gromady, przekładała błysk złota i świecących kamyków. Za kosztowny zbytek, za życie bez troski, walką i krwawą pracą innych okupione, dawała miękkość białego łona i aksamitne spojrzenie wielkich oczu — więcej nie miała. Jakiś pociąg nieprzeparty i niezrozumiały popchnął ją w górne, obce jej krainy do samotnego człowieka. —

Gdyby tak powoli przed jego umysłem rozwijał się obraz jej duszy tak sprzeczny z zewnętrznem zjawiskiem, poczęła się w jego wnętrzu zacięta walka.

I była chwila gdy, zapomniawszy o świecie pod jej rozkosze obiecującemi spojrzeniem chciał rzucić się przed nią na kolana, jak wieśniak przed cudownym obrazem i błagać, by złączyła byt swój z jego bytem.

z drugiem, celu pracy i jej materyału będzie mu wskazówką, *jak* wychowywać należy. — Pierwsza część jego zadania wkracza w dziedzinę historyi, socyologii — filozofii, druga opiera się na psychologii i to na drobiazgowej analizie psychologicznej.

Wychowanie, które pomija te obie kardynalne zasady i zadawalnia się mechanicznem stosowaniem metod polecanych, uznanych, zwyczajem przyjętych lub prawem określonych, nie może rościć pretensyi do doniosłego znaczenia, nie jest pracą obywatelską, nie jest misyą, ani zasługą, — jest tylko bezmyślną, zarobkową robotą.

W wielu wypadkach jednak rzeczywistość daleką jest od ideału, który pedagogii stawiamy. Rodzice i nauczyciele chwytają krążące wśród ogółu przekonania, zasady, poglądy i najczęściej stosują je bez krytyki, nie zastanawiając się nad ich wartością, nie przymierzając ich ani do swych ogólnych na zadania ludzkości zapatrywań, ani do natury swych dzieci. Dzieje się tak w każdym zakresie wychowania: ktoś wygłasza zasadę, że dzieci hartować należy, pogląd się rozpowszechnia i niejedno wątłe z natury biedactwo pada ofiarą zbyt energicznie a niewłaściwie zastosowanej, doskonałej z sztą metody. — „Dzieci mają jak najdłużej być dziećmi“, głosi ktoś inny, — a gorliwiwy chowawcy gwałtem zapędzają do gry w krycie i lalek is otki, które dawno już myśleć zaczęły i całkiem innej potrzebują rozrywki. — „Młodzież nie powinna politykować“, odzywa się głos poważny, a przemawia tak przekonywająco, że cały zastęp kierowników młodego pokolenia z zapałem, godnym lepszej sprawy pracuje nad stłumieniem i zniszczeniem tego, co w młodych sercach tliło jako najcenniejszy pierwiastek szczęścia i siły.

Każda nauka przez błędy dochodzi do prawdy, przez prostowanie pomyłek zdobywa pewniki i osiąga rozwój przez doskonalenie się stopniowe. Nic dziwnego, że i pedagogia — nauka niezbyt stara, mieści w sobie dużo luźnych, sprzecznych ze sobą teoryi i zasad, że próbuje, doświadcza — że się nieraz myli. Jej pomyłki i zdobycze jednak mają donioślejsze dla ludzkości znaczenie, nie są prostym błędem rachunkowym, nie są czysto teoretyczną hypotezą, lecz odbijają się na życiu narodu; pierwsze znaczą tyle, co nieszczęście, drugie tyle, co postęp.

Dla wyżej wymienionych przyczyn, gdy przychodzi nam mówić o narodowem wychowaniu, nie zadowolnimy się powtarzaniem po stokroć wygłaszanych zasad: „nie pozwólmy germanizować naszych dzieci“ — „uczmy ich języka ojczystego i ojczystych dziejów“, — „polskie dzieci wychowujmy po polsku“ i t. d. lecz sięgnąć musimy głębiej i zapytać najprzód, dlaczego uczucia narodowe pragniemy wzbudzić w dzieciach? Jeśli pracujemy dla ich szczęścia, czy uczucia te istotnie je uszczęśliwią? Jeśli pracujemy dla pożytku ludzkości, czy zyska ona na tem, że gromada niewolników gryźć będzie własne łańcuchy? — W kraju rozdartym na trzy części, w kraju na trzy sposoby uciskanym i prześladowanym — mnożyć patryotów nie jestże to mnożyć niezadowolnionych, — nieszczęśliwych? W narodzie, który podlega dziesięćkroć potężniejszejszej przemocy, czyż rozbudzanie ducha narodowego nie jest wyczerpywaniem sił ludzkich w bezowocnej i beznadziejnej walce? Z drugiej strony postawmy się na chwilę w położeniu ludów wolnych i potężnych; do jakiego celu tam zmierzać może, rozbudzanie patryotyzmu w młodem pokoleniu? Czy do wyrobienia dumy narodowej, pogardy dla obco-plemieńców, chciwości zaborczej, ambicyi i chęci panowania nad światem? Czy ludzkość zyskuje na tem, gdy jedno plemię — drugie gnębi, gardzi niem lub pomiata? Czy do szczęścia narodów i jednostek przyczynia się rozniecana w ich sercach gromad'ka przeciw drugiej grupie narodowej nienawiść? Nie, zaprawdę nie; nienawiść, pogarda, zazdrość — nie przyczyniają się do szczęścia narodów ani jednostek i, jeżeli patryotyzmem nazwiemy te uczucia, które ludzkość dzielą na liczne, wrogie sobie obozy, które stawiają pod broń ludy i zwracają je ku granicom państw ościennych dla utrzymania ich w postrachu, zawsze gotowe do rozpoczęcia bratobójczej walki — to usiłowania wszystkich ludzi dobrej woli skierowaćby trzeba ku wyplenieniu do szczętu uczuć narodowych z serc ludzkich. Jakiekolwiek jednak formy wśród dziejowych okoliczności patryotyzm przybiera, jakkolwiek dzikim on jest u ludów dzikich, krwiożerczym u barbarzyńskich i drapieżnych, rozpaczliwym u uciśnionych, mściwym u zdeptanych, jednak istotą jego i podstawą jest nie nienawiść wrogów, lecz miłość kraju.

Mimo widocznych zdobyczy cywilizacyjnych XIX wieku żyjemy dzisiaj jeszcze w społeczeństwach barbarzyńskich, wśród ludzkości, która się swych jaskiniowych tradycyi bynajmniej nie wyrzekła, wśród gromad dwunożnych, które z gromadami czworonożnemi wiele mają wspólnych cech pokrewieństwa. Nawet najzapaleńszy przeciwnik teoryi Darwina przyznać musi, iż nieraz krążąc wśród ludzi doznaje takich wrażeń, jak gdyby w menażeryi patrzał na okazy różnych gromad zwierzęcych, zamkniętych w żelaznych klatkach prawa, zwyczaju lub opinii. — Niekiedy, jeżeli taki menażeryjny obłaskawiony okaz wydostanie się po za kratę żelazną, w sfery, w które kodeks karny i policya nie wgląda, dochodzi do zdumiewającego rozbestwienia, pokazuje kły i pazury i zdradza swą istotną naturę. Dzieje cywilizatorów europejskich w Afryce dają smutne świadectwo tej prawdzie. — Wobec faktów takich dziwić się nie można, że w życiu, zwyczajach, uczuciach ogładzonych, lecz nie dość zhumanizowanych społeczeństw, pierwiastek dzikości gra jeszcze znaczną rolę, że kodeks nienawiści więcej nimi rządzi, niż kodeks miłości, że nawet najzdrowsze ich instynkta drapieżnością zwierzęcą zabarwia. Nienawiść plemienna, despotyzm silnych, bunt mściwy słabych nie w patryotyzmie, lecz w owych instynktach odziedziczonych po barbarzyńskich przodkach mają swe źródła. — Nie można czynić odpowiedzialnym patryotyzmu za mordy i pożogi — jak nie można czynić odpowiedzialnym chrystyanizmu za rzeź św. Bartłomieja. Religia stworzyła Torquemadę i św. Wincentego à Paulo; i patryotyzm zaznaczył się w dziejach różnemi głoskami, zapisał w nich i szczytne ofiary i krzywdy o pomstę wołające. Kształcenie uczuć patryotycznych powinno jak każda czynność wychowawcza mieć na celu moralne podniesienie jednostki i dla tego też na moralnych, humanitarnych winno się oprzeć podstawach. — Pierwiastków nienawiści niech nigdy starsze pokolenie nie przekazuje młodszemu, niech je uczy zasadzać swe zasługi nie na szkodzeniu wrogom, lecz na pracy dla swoich, nie na walce z obcym żywiołem, lecz na strzeżeniu własnych skarbów narodowych. — Gdyby pedagogowie wszystkich oświeconych narodów przejęli się tą ideą — o szkodliwości patryotyzmu nie mogłoby być mowy.

Czy jednak przynosiłby on jakiekolwiek ludzkości korzyści? Czy nie jest on poniekąd zacieśnieniem uczuć i poglądów człowieka, ograniczeniem pola jego działalności, zaporą do szerszego rozwoju? Czy kosmopolityczne uczucie, międzynarodowa miłość ludzkości nie zdołałaby go z korzyścią dla świata i dla rozwoju człowieka zastąpić? Wszakże powiedziano: „Vaterslandsliebe ist nichts als eine eingeschränkte Weltbürgerliebe und die höhere Menschenliebe ist des Weisen grosse Vaterlandsliebe.“ (Jean Paul).

Istotnie rozwój uczuć człowieka przechodzi różne stopnie: osobisty egoizm przekształca się w uczucia rodzinne, przywiązanie rodzinne rozwija się w miłość narodu, a ta ogarniając coraz

---

Ciemność zapadła i razem z migotliwem światłem pierwszych gwiazd powiał chłód orzeźwiający od morza na jego płonące skronie. Nagle nicość i marność ogromna jej duszy stanęła mu w całej pełni przed oczyma i z wyrazem niemej boleści odwrócił oblicze.

— Podmuch wiatru zdwoił swą siłę; z za mglistej opony horyzontu wyjrzał czerwony sierp księżyca, oświecając drgającem światłem pieniste grzbiety bałwanów.

Rozbijały się z rosnącym szumem o nagie skały wybrzeża — pieśnią bezsilnej rozpaczy. I coraz nowe korowody napływały z bezbrzeżnej dali i coraz silniej wydymał je rosnący wicher, aż dalekie gromy otwarły przenikliwem światłem sklepienie niebios zwiastując nawałnicę. Czarna poszarpanych chmur zasłona zalewała coraz to większą przestrzeń nieba, pożerając złociste gwiazdy i księżycowe blaski. Gromadziły się w powietrzu jakieś potęgi, szukające bezwiednie upustu i napełniały je lękiem.

Potoki deszczu lunęły na ziemię, rozwinęły pioruny sił swoich oślepiające odblaski i powstała walka olbrzymich tytanów, rzucających na siebie ognia niebieskiego pociski i straszących się wzajem podziemnych śmiechów echami. Jak stada koni bojowych pędziły w czarną dal ścigające się wichry, jak straszni jeźdźce, żądni krwi i zemsty dosiadały tych koni rozwichrzone chmur kłęby, zbrojne płomienistemi mieczami błyskawic. I była pora jak szachownica mieniąca się co chwila to cieniem, to jasnością, szmerem ulewy i łoskotami gromów. Morze niedawno tak jasne zmieniło się w czeluść ziejącą ogniem, rykiem wód rozszalałych, chichotem piekielnym wichrów, pianą i wściekłością — płakało niebo nad ludzką niedolą.

Jakieś harce piekielne, jakieś wiry ogromne poczęły się tam na dole. Wśród jęku wichru, wśród szumu i trzasku uderzających o siebie wiatrem rozkołysanych gałęzi, słychać było szturm spiętrzonych fal ponawiany z rosnącą wściekłością do niemych szeregów skał. Jakieś gromadne borykanie się wśród zamętu, jakieś odgłosy nieludzkie, jak ryki dławionych olbrzymią pięścią potworów morskich wstrząsały przerażonem powietrzem. Potem rozjaśniał przeraźliwy blask wylękłe i spienione oblicze morza, potem huk gromu głuszył wszystkie odgłosy, potem jeszcze czarniejsza ciemność rozpościerała się dokoła. I czasami zdawało mu się, że spokój panuje w naturze dokoła i tylko w jego piersi szaleją orkany. I czasami zlewała się burza szarpiąca jego wnętrze z walką żywiołów w przestworzu. Porywał mu wiatr krople rosy, które dusza wypłakała oczami i rzucał je zmienione w deszcz kroplisty na ziemię; jęk co huczał gdzieś w sercu przepaścistej głębi, odbijał się o jego ściany i wyrywał się świstem wichru na zewnątrz; i nagłe przebłyski bolu rozsadzały mu czaszkę i zapalały się gromami na na niebie. A potem rozlał się szeroki spokój na jego duszę i tylko burza szalała. Rozwiała w dzikiej rozpaczy czarne wiechy zwichrzonych włosów po niebie, rzuciła się z płaczem, jękiem i zgrzytem na spienioną pierś morza, piorunowe łkania wstrząsały jej ciałem wielkiem jak świat. Poruszyły się fale morskie wybuchem tej boleści, przygarnęły szalejącą burzę mglistemi ramiony do zwichrzonych piersi i koiły ponurym rykiem niepohamowane szały jej rozpaczy. A wtedy przenosiła się wielka pieśń rozpaczy, w której jęk burzy i świst wichru i ryk wód łączyły się w jeden zgodny ogromny akord — gdzieś w głębie morskich odmętów i wybuchała z nich tłumiona — a jednak nieprzeparta.

Drżała ziemia wzruszona,

I srożyły się zmięszanemi głosami burzy na ziemi, niebie i wodzie grozy i tajemnic pełne siły wszechświata — i przy świetle błyskawic widzieć było można rysy jego twarzy piękniejące zwolna — spokojem.

P. St.

szerszy zakres obejmuje całą rodzinę ludzką, staje się miłością ludzkości.

Stopnie te jednak są szkołą uczuć ludzkich; znieść ich ani przeskoczyć nie można. Wszelkie próby na wielką skalę w tym kierunku podjęte tylko u wyjątkowych natur nie chybiały celu i to w takim razie jeszcze, jeśli je w anormalnych postawiono warunkach. Dodać zresztą należy, że tam gdzie się starano oddzielić jednostkę od jej najbliższych naturalnych związków rodzinnych i narodowych i oddać ją na usługi ludzkości — jeśli powstałej tym sposobem w około siebie pustki nie wypełniła potwornym egoizmem, wytworzyć sobie musiała w miejsce naturalnej rodziny i ojczyzny — sztuczną — a patryotyzm zastąpiła zmysłem korporacyjnym lub solidarnością kastową. — W naturze ludzkiej leży konieczność koncentrowania uczuć na pewien obręb, który znać, z którym zżyć się można. — Nikt nie może twierdzić, aby wszystkich bliźnich zarówno kochał, nikt mimo najszczerszych usiłowań nie może do tego doprowadzić. Uczucia ludzkie mają tę właściwość, że w miarę jak szerszy zakres obejmują — tracą na intensywności, ukochać silnie można tylko to, co się wybrało, co się po nad inne ziemskie przywiązania przenosi — ktoby zaś pragnął sercem objąć całą ludzkość, wszystkich bliźnich bez wyjątków i bez różnic, chciał się pozbywać wszelkich osobistych przywiązań i sympatyi — doszedłby najpewniej do tego rezultatu, że nie kochałby nikogo. — Zdarzają się wyjątki naturalnie, lecz przeciętna większość ludzi rozwija swą zdolność uczuciową w stosunkach blizkich, częstych, codziennych, widocznych i dopiero ztąd na szerszy zakres przenosić ją może. — Częściej się zdarza, że człowiek rodziną otoczony przytuli bezdomną sierotę niż ten, co nigdy szczęścia domowego nie zaznał, nie tęskni za niem i sam sobie przywykł wystarczać. Idea czysta mało znajduje wyznawców, masy zapalać się mogą tylko do takiej idei, którą uzewnętrznić sobie mogą. — Naiwna uwaga dziecka, które uczyłam religii, uwidoczniła mi tę prawdę; „Jakże ja mam kochać Pana Boga, pytał malec, kiedy go nie widzę i uściskać nie mogę?“ Od poziomu umysłowego mego naiwnego uczucia do wykształconych pojęć ludzi cywilizowanych przeskok wielki, lecz niejeden z nich nie bez słuszności mógłby zadać całkiem analogiczne pytanie? „Jakże ja mam kochać wszystki ludzi, kiedy wszystkich nie znam? Cóż uczynię przez miłość dla któregoś z poddanych cesarza chińskiego, dla rybaka z Norwegii lub czerwonoskórego myśliwca? Miłość moja będzie tylko czczym dźwiękiem bez znaczenia; czy ja tych ludzi kocham, czy nie kocham, to dla mnie i dla nich rzecz obojętna. — Jeśli natomiast umiłuję swoich, mieszkańców ziemi, w której żyję, ludzi których język rozumiem, których zwyczaje, tradycye, wiekowe nawyknienia będące dziś narodowym charakterem są zarazem mojemi — ludzi, których każda myśl, każda potrzeba, każde dążenie może znaleźć w mej duszy oddźwięk, gdy urodzenie samo zadzierzgnęło w naszych sercach struny pokrewne, sympatyczne, wtórujące sobie bratniem echem przy każdej ważniejszej okoliczności — wtedy uczucie moje będzie siłą czynną, żywą i twórczą.

Dla szczęścia braci swoich zdziałać mogę wiele — gdyż wiem, co i jak czynić, aby ich troski usunąć, bole złagodzić, nadzieje spełnić. Braćmi zaś są dzieci jednego narodu, a nie jest to figurą retoryczną, lecz najrealniejszą rzeczywistością. — Są braćmi nietylko przez wspólne pochodzenie plemienne, lecz i przez wspólne wychowanie historyczne, przez jednakie wpływy położenia geograficznego i klimatu, przez siłę jednakich przyzwyczajeń, przez długie, wiekowe wszystkich ze wszystkimi stosunki. — Jeśli dziś psychologia i krytyka doszła do tej prawdy, że badając charakter jakiejś wybitnej osobistości lub rozwój wielkiego talentu brać należy w rachunek ścisły wpływy dziedziczności i otoczenia i niemi tłomaczyć pochodzenie tej lub owej charakterystycznej cechy — to nie może ulegać wątpliwości, że pewna grupa ludzi wspólnie przez wieki całe poddawana wpływom jednych i tych samych czynników musi przez to samo nabyć pewnego ogólnego charakteru — który charakterem narodowym nazywamy.

Rozmaitość narodowych typów, różnice poglądów, dążeń, obyczajów istniejące między zbiorowemi członkami ludzkości — nie ujmę, lecz korzyść jej stanowią: — Z rozmaitości tej wynika ruch i życie, ona to sprzyja szybszemu krążeniu myśli, skwapliwszej wymianie moralnych usług i zdwaja nabytki duchowe ludzkości przyspieszając jej cywilizacyjny rozwój. — Dzieje się tu to samo w świecie intelektualnym, co w materyalnym w skutek różnicy położenia geograficznego, klimatu i naturalnych produktów. Różnice te wywołują podział pracy, tworzą handel, podnoszą przemysł, przyspieszają rozwój komunikacyi, rodzą wynalazki i pchają ludzkość naprzód na drodze materyalnego postępu. — Na wielkiem forum dziejowem każda sprawa powinna być bronioną przez tych, którzy najściślej są z nią związani, wówczas bronioną będzie gorliwie i wymiar sprawiedliwości historycznej stanie się możliwie najdokładniejszym. — Naród, który sam swych interesów bronić przestaje z góry, przygotować się musi na to, że zostanie pominięty, zniknie z powierzchni ziemi, a znim znikną te wszystkie usługi i korzyści, jakie on wielkiej rodzinie ludzkiej mógł i powinien był oddać. — Im więcej byt jego jest zagrożony — tem goręcej, tem usilniej podtrzymywać go musi. — winien to i sobie i innym.

Zapytaćby jeszcze można, czy pedagogowi wolno pracować wyłącznie dla celów ogólnych i odległych z pominięciem najbliższych; czy wolno mu na ołtarzu idei czynić całopalenie z powierzonych opiece jego istot? Wszakże mówiliśmy na wstępie, że zadaniem pedagogii jest przysparzanie światu jednostek pożytecznych i szczęśliwych? Oba te cele są ściśle ze sobą złączone; jednego od drugiego oddzielać nie można. Czemże jest dobro ogółu? Jestto szczęście wielkiego zbiorowiska jednostek? Czem może być praca społeczna człowieka, dla którego życie nie ma żadnego powabu, którego istnienie jest szeregiem cierpień? Czy można tej pracy wymagać od istot wydziedziczonych, przygnębionych, zaledwie zdolnych dzwigać ciężar trosk własnych? Zapewne, że nie.

„Nie rozpromienieje szczęściem dokoła, kto sam własnego szczęścia nie świeci gwiazdeczką; nie nakarmi, kto sam głodny; nie nauczy, kto sam bezwiedny; nie wesprze, kto sam bezsilny; nie stworzy, kto sam umarły.“ (Gabryella). Zdawaćby się mogło, że w obec położenia, w którem nasz naród się znajduje — dla nas Polaków miłość ojczyzny i szczęście są to dwie rzeczy, które wykluczają się wzajemnie. „Rozwijać patryotyzm w dzieciach, to narażać je na walkę, prześladowanie, na tysiące zgryzot moralnych i bolesnych rozczarowań“ mówi niejeden i sądzi, iż istotną wychowańcom swym oddaje usługą unikając starannie przy nich wszelkiej wzmianki o cierpieniach kraju. — Naszem zdaniem popełnia straszną pomyłkę i, sam sobie nie zdając z tego sprawy, czyni wielką krzywdę dzieciom, obcinając im skrzydła, które może zdołałyby je unieść w wyższe sfery ponad poziom codziennych trosk i codziennych przyjemności, w sfery uczuć wielkich, wzniosłych pragnień, świętych idei. — Choć nieraz skrzydła te byłyby skrzydłami Ikara, choć śmiały polot zakończyłby się smutnym upadkiem, to i to wiele warte, że dzięki jemu choć raz spojrzałyby — na słońce. — Świata idei, pola walki w obronie uwielbianych sztandarów nie wolno nam zagradzać przed dziećmi; nie wolno obniżać dowolnie ich lotu, nie wolno ich zasklepiać w ciasnych ramkach powszedniości — gdyż to nietylko ich szczęścia nie zapewnia, lecz im do niego drogę zamyka. — Tylko ludzie bardzo powierzchownie na rzeczy patrzący mogą mówić o szczęściu egoistów i filistrów. — Zacieśnianie obrębu swych wrażeń i uczuć nie chroni przed uczuciami i wrażeniami przykremi; chociażbyśmy życie nasze zawarli w jaknajciaśniejszym deptaku, zawsze w nim znajdziemy dosyć powodów do cierpień, a cierpienia nasze tem będą dotkliwsze, tem większe przybiorą rozmiary, gdy stracimy możność zestawienia ich nicości z ogromem spraw ludzkich. Egoista, filister ma trosk tyleż, co człowiek dla idei żyjący — ma tylko znacznie mniej pociech. Gdy drugi wśród cierpień osobistych, czy ogólnych może się krzepić myślą, że prędzej czy później sprawa jego tryumf odniesie, gdy ulgę mu sprawia myśl, że do tego tryumfu choć w małej przyczynił się cząstce, gdy pełen wiary w prawdę przez siebie wyznawaną, nawet ginąc żywi nadzieję, że jest ofiarą która jej do zwycięztwa ściele drogę — filister, egoista mający swój cel w sobie i jedynie w sobie samym, w obec każdego niebezpieczeństwa czuje podminowaną całą podstawę swego szczęścia. Choroba każda może je zniszczyć — strata każda je nadwereża; poza osobistemi pragnieniami nie ma żadnych innych i jeźli na loteryi życia przegrywa — to od razu całą stawkę. — Bliższa obserwacya stosunków ludzkich stwierdza na każdym kroku tę prawdę. — Życie, które nie ma celu poza sobą, niesmakiem przejmuje. Pessymistów, melancholików, znudzonych, zwątpiałych znajdujemy głównie między tymi, którzy nie mają w duszy żadnej idei przewodniej, którzy się pod sztandar żadnej nie zaciągnęli. Przyjemności w życiu doznane nie tyle nas z niem wiążą, ile obowiązki nasze i pragnienia. „Nicht was die Welt uns ist, was wir der Welt sind, ist massgebend für unser Glück“. — Ta sama myśl, że jest się potrzebnym na świecie bywa nieraz wielką dźwignią moralną, źródłem siły i wytrwania. Do tego przyłącza się jeszcze poczucie własnej wartości, świadomość pewnej wyższości moralnej — i pełniejszego moralnego rozwoju. — Wzmożenie się potęgi uczuciowej człowieka, obejmowanie sercem i myślą coraz szerszego zakresu spraw ludzkich, łączność z licznym zastępem czujących i myślących wraz z nami, praca wspólna, wspólna walka i wspólna nadzieja zwycięstwa, związek duchowy z pokoleniami śpiącemi pod mogiłą i z temi, które żyć i czuć będą wtedy jeszcze, gdy nasze kości w proch się rozsypią — to wieczne źródło szczęścia i siły, które zwykłych śmiertelników w tytanów zamienia.

Izabella Moszczeńska.

NA WYŁOMIE.

(Wycieczka dzieci Wielkopolskich do Lwowa; wstręt „Kuryera Poznańskiego“ do nauki).

Na dalekim wschodzie, dwa mocarstwa azyatyckie bój zacięty wiodą o Koreę. Podobno Japończycy nie bez ważnych powodów dobrali się Chińczykom do warkoczów; kanclerz Jego Mikadowskiej Mości hr. Ito pragnął odwrócić uwagę umysłów coraz więcej niezadowolnionych parlamentarną jego gospodarką. Wybrał więc wojnę. Oczy wszystkich zwrócone na Koreę; zapominają poddani Mikada o nieformalnościach hrabiego Ito, a każde zwycięstwo nad Chinami odniesione głowę jego świetną otacza aureolą, która ostatniemi czasy mocno już była przybladła.

Dzięki naszej cywilizacyi, redukującej największe przestrzenie do zera, — wybieg japoński i na gruncie poznańskim znalazł zastosowanie. Od pewnego czasu coraz częściej i coraz wyraźniej „duchy buntu“ podnosiły głowę w państwie do niedawna prawie niepodzielnie rządzonem przez poznańskiego mandaryna. — Piedestał, jaki mozolną pracą i podziwienia godną wytrwałością był sobie zbudował, zaczął się rysować i pochylać — groził upadek, mogący i bożyszcze w gruzach pogrzebać.

Trzeba było odwrócić uwagę od ruiny — tak zrodził się pomysł tryumfalnego pochodu przez Galicyę. Chodziło tylko o zorganizowanie świty. Ale i pod tym względem o radę nie było trudno. Ogłoszono wycieczkę dzieci wielkopol-

skich na wystawę lwowską. Dzieciom można zaufać zupełnie, nie ma obawy, aby rokosz zrobiły po drodze. Dołączyło się grono pań i kilku chłopków, wytrenowanych przez „Wielkopolanina“ w milczeniu i uległości dla każdej „uznanej powagi“. Wyruszono w drogę. Na wszystkich stacyach witano gości wielkopolskich, a wszędzie odpowiadał „niezmordowany w przemowach“ przewodnik; jedynie przy ofiarowaniu lub przyjmowaniu kwiatów pozwalał się wyręczać na odmiany: najmłodszemu z gimnazyastów lub najstarszej, (zawsze jednak młodej jeszcze) Wielkopolance.

We Lwowie czekało Wielkopolan nieprzerwane pasmo uczt, koncertów, mów, festynów z kwiatami lub bez kwiatów, — nawet kapela złożona z małych żydków hołd należny mandarynowi poznańskiemu złożyła.

W krótkich przerwach pomiędzy festynami pędem dzieci wielkopolskie przebiegały wystawę; widocznie zmęczeniem fizycznem chciano dowieść świetności i wielkości wystawy; umysłom dziecięcym w ten sposób najłatwiej może było trafić do przekonania. Nie będę się silił opisem powrotu ze Lwowa i przyjęcia w Krakowie, stanowiącego wspaniałe finale wielkiego pochodu tryumfalnego. Powiem tylko, że przewodnik wycieczki najzupełniej mógł być zadowolonym.

W całem życiu może tyle nie zapełniono łamów dziennikarskich pochwałami naszego mandaryna. „Dziennik Poznański“ ledwo mógł nadążyć z umieszczeniem wszystkich telegramów i sprawozdań nadchodzących do Poznania. Jeżeli to się nie przyczyni do odrestaurowania mocno już chylącej się do upadku „powagi“ — to poznańczycy widocznie nie mają żadnego zrozumienia dla akrobatyki w wyższym stylu. Była to pyszna feerya z końcową apoteozą przewodnika wycieczki; pokazuje się, że nieudolny dyrektor teatru może być jeszcze znakomitym maszynistą.

Żal mi tylko biednych naszych dzieci wielkopolskich. Pomęczone biedactwa trzeźwić się musiały, aby nie zasnąć w ciągu nieustannych mówek, wygłaszanych przez „niezmordowanego“ ich przewodnika. Wystawy mało widziały, przeszkadzały temu festyny. O Galicyi wyrobiły sobie najfantastyczniejsze pojęcie. Pozostanie Galicya w ich umysłach krajem, w którym nieprzerwano się odbywają uczty, gdzie szanują ich przewodnika, i gdzie tenże ciągle wygłasza mówki, krajem o klimacie wywołującym fizyczne i umysłowe znużenie.

* * *

Wielce się nie podobało krakowskiemu „Czasowi“ wystąpienie pani Bujwidowej na kongresie pedagogicznym we Lwowie z żądaniem, aby uniwersytety krajowe otworzyły swe podwoje dla żądnych wiedzy polskich kobiet. [Rezolucya pani Bujwidowej została przyjętą ku wielkiemu zgorszeniu „Czasu“ ubolewającego nad tem, że „dziewice“ i to takie w dodatku, które „nie zaznały jeszcze macierzyństwa“ (cytuję z „Czasu“) uzurpują sobie nietylko prawo przemawiania publicznie na zjazdach, ale nawet się dopominają dopuszczenia ich do zawodów, odrywających je od „ogniska rodzinnego“. „Kuryer Poznański“ jako wierne echo krakowskiego „Czasu“ umieścił także artykuł w tej sprawie. Autor jednak artykułu „Kuryera“ całą rzecz przedstawia humorystycznie, jako niezasługującą na to, żeby ją brać ze strony poważnej. Humorystyka „Kuryera“ wprawdzie nie bardzo jest zabawna, dowcipy jego nie bardzo wytworne, można się jednak rozbawić widokiem ciężkich dział, wytaczanych ku zburzeniu „emancypacyi kobiet“. Kobieta zdaniem autora szczęście powinna znaleść „przy ognisku rodzinnem“, nie powinna błąkać się po manowcach wiedzy, ale być dobrą żoną, matką i t. d. Jak gdyby każda kobieta miała zapewnionego sobie z góry męża. Socyaliści domagają się „prawa do pracy“, Szwajcarya podobno stara się o zrealizowanie tego prawa — największy jednak radykał dotąd nie pomyślał o tem, aby dla kobiet istniało, albo urzeczywistnić się dało „prawo do męża“!

Jakby to prawo zastosować w przeważnej części krajów cywilizowanych, w których liczba kobiet znacznie przewyższa liczbę mężczyzn, a więc kandydatów zapewniających kobietom „szczęście rodzinne“, nad tem autor się nie zastanawiał widocznie.

Cóż zresztą kobietom po nauce, skoro jej matki i babki nasze także nie posiadały? „Ś. p. matka moja“ — mówi autor, — „świeć Panie nad jej duszą, tych słów hygiena i psychologia pewnie w ży iu nie słyszała, a przecie wykarmiła i wychowała trzynaścioro dzieci i wykierowała je na ludzi“.

„Ciekawość, czyby taka pani, która odbyła kursa akademiczne hygieny i psychologii, coś podobnego dokazała?“

Widzę rozpromienione oblicze autora, jak się lubuje myślą, że tym argumentem już zupełnie przeciwnikom usta zamknął. Trzynaścioro dzieci! Nie każda kobieta tego dokaże, nawet nie każda, która mniej jeszcze słyszała naukowych wyrazów od ś. p. matki autora! Dziwi mnie tylko, że filozof „Kuryera“ tak się w połowie drogi zatrzymuje, że nie pragnie zdławić całej cywilizacyi, o jakiej ani ś. p. jego matka, ani babka, ani prababka, świeć Panie nad ich duszami, pojęcia nie miały, że nie zapragnie zburzyć kolei żelaznych, maszyn parowych, telegrafów, prasy, przedewszystkiem prasy! Niktby się wtenczas nie domyślał nawet, jakie antydiluwialne u nas jeszcze panują zapatrywania!

Tristan.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSA.

5 sierpnia.

(Kto będzie biskupem, a kto dyrektorem Szkoły Sztuk Pięknych. — Jubileusz kanonizacyi św. Jacka. — Cholera. — Pobyt Wielkopolan. — T. T. Jeż. — Miscellanea.)

W braku faktów, przy ogólnym letnim zastoju wszelkich spraw krakowskich, żyjemy głównie przyszłością i wszelkiego rodzaju przypuszczeniami, co i jak dalej będzie. To też i korespondent w braku materyału bieżącego, musi notować nie to, co było, lecz to co być może, lub będzie.

A więc może być, że biskupem krakowskim nie zostanie żaden z tych kandydatów, których nazwiska poprzednio wymieniłem. Od pewnego czasu bowiem uporczywie obiega pogłoska, że godność ta spadnie na ks. Jackowskiego, członka T. J. Jest to kapłan w sile wieku, znany nietylko jako dobry mówca, ale i jako człowiek energiczny, niecofający się przed niczem, nawet przed niebezpieczeństwem, kiedy sprawa Kościoła tego wymaga. Przykładem missja jego na Podlasiu wśród unitów.

Z wyżyny tronu biskupiego przejdźmy na wyżynę sztuki. Jest nią bezwarunkowo osierocona po Matejce dyrekcya Szkoły Sztuk Pięknych. Mówiono początkowo, że obejmie ją Siemiradzki, ale znając stosunki wyrażałem już wątpliwość, aby się to stać mogło. Przypuszczałem prędzej, że Józef Brandt da się nakłonić do objęcia dyrekcyi. Czy rokowano z nim w tej sprawie, nie wiem, ale prędzej że nie, bo nie można wymagać pośpiechu od władz austryackich, przyzwyczajonych każdy rok uważać za jedną chwilę wieczności. O żadnym innym kandydacie nie było dotąd słychać. Dopiero od kilku dni krąży pogłoska, której ziszczenie się nie należy do rzeczy całkiem nieprawdopodobnych. Zamieszkały w Wiedniu głośny portrecista Kazimierz Pochwalski, został mianowany profesorem historycznego malarstwa wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych. Niespodziewana ta nominacya wywołała pewne zdziwienie, tem więcej, iż Pochwalski nie był nigdy malarzem historycznym, lecz uprawiał początkowo z wielkiem pywodzeniem malarstwo rodzajowe, poczem przerzucił się do portretów, które nazwisko jego tak głośnem uczyniły. Otóż wtajemniczeni, czy też udający wtajemniczonych, twierdzą, jakoby ta nominacya była tylko przejściem do objęcia przez Pochwalskiego dyrekcyi krakowskiej Szkoły Sztuk pięknych. Za wiarogodność tej pogłoski nie ręczę, a nawet trudno mi nieco przypuścić, aby Pochwalski laury, jakie zbiera za granicą, zechciał zamienić na zaszczytne wprawdzie, ale skromne stanowisko dyrektora Szkoły krakowskiej.

Już tylko trzy tygodnie oddziela nas od kościelnej uroczystości, jaką będzie jubileusz 300 rocznicy św. Jacka. Uroczystości jubileuszowe trwać będą od 25 sierpnia do 2 września. Spodziewany jest wielki zjazd duchowieństwa i wielka pielgrzymka ludu z Galicyi i ze Szląska. Ponieważ klasztor O. O. Dominikanów, w którego kościele odbywać się będzie uroczystość jubileuszowa, nie mógłby podołać znacznym wydatkom, przeto zawiązał się komitet obywatelski, mający zająć się utrzymaniem ubogich pielgrzymów podczas ich kilkodniowego pobytu w Krakowie. Obawiać się tylko należy, aby epidemia cholery nie stanęła pielgrzymce na przeszkodzie. Od dłuższego czasu pojawiały się wypadki tej strasznej choroby we wschodniej Galicyi w pobliżu granicy rosyjskiej. Zachodnia Galicya była prawie od nich wolną, gdyż pojedyńczych, rzadkich wypadków nie można było uważać za epidemią. Dopiero przed tygodniem w przysiołku graniczącym z Suchą, własnością Branickich, odległą o 8 mil od Krakowa w prostym kierunku, przy linii kolejowej prowadzącej do Chabówki, zkąd przez nowy Targ jedzie się do Zakopanego, wybuchła epidemia dość gwałtownie, bo w ciągu kilku dni zachorowało 28 osób, z których umarło 7. Energia władzy nie dozwoliła jak dotąd rozszerzać się epidemii. Przysiołek szczelnie otoczono, tak, że w samej Suchej nie było ani jednego wypadku. W ostatniej chwili dowiaduję się z najwiarogodniejszego źródła, że niebezpieczeństwo zdaje się być uchylone. Ostatnie wypadki były niezwykle lekkie, onegdaj i wczoraj nikt więcej nie zachorował. Może więc uda się przytłumić całkiem zarazę i ocalić od niej zachodnią Galicyą. Było też po jednym wypadku w Zabierzowie, Niepołomicach i w kilku innych miejscowościach niezbyt oddalonych od Krakowa. W samym Krakowie naliczono też w ciągu miesiąca kilka podejrzanych wypadków śmierci, ale badania bakteryologiczne nie wykazały podobno cholery.

W Piątek wieczorem przybyli do Krakowa Wielkopolanie, wracający z wystawy lwowskiej. Jest to właściwie wycieczka gimnazyastów urządzona przez redaktora „Dziennika poznańskiego“, do której przyłączyło się kilkadziesiąt osób z Poznania i okolicy. Wielkopolanie zabawili przez dwa dni w Krakowie, a podejmował ich komitet zawiązany przez prezydenta miasta. Przyjeżdżających powitała muzyka, której towarzyszyły głośne okrzyki zebranej publiczności. Prezydent Friedlein powitał przybyłych imieniem Krakowa, na co odpowiedział p. Dobrowolski. W sobotę po zwiedzeniu miasta i jego pamiątek zgromadzili się goście w sali Sokoła, zkąd wyruszyli na kopiec Kościuszki i do parku Jordana. Wieczorem na cześć gości odbyło się przedstawienie operetki (!!!). Niedziela przeznaczona była na zwiedzenie Wieliczki i przyjęcie przez Radę miejską w salach Towarzystwa Strzeleckiego.

Przejeżdżał też przez nasze miasto z powrotem ze Lwowa Teodor Tomasz Jeż. Nie zatrzymał się całkiem, a tylko kilka osób pospieszyło na dworzec kolejowy uścisnąć dłonie znakomitego powieściopisarza. Redakcya pisma liberalnego zawiadomiła publiczność dzień naprzód o tem przejeździe, sądzono więc, że Jeża spotka przynajmniej z tej strony jakaś owacya. Tymczasem na peronie kolejowym nie było o naznaczonej godzinie nawet członków redakcyi „N. Reformy“, ani też żadnego przedstawiciela Towarzystw noszących urzędowo firmę „literacką“. Kraków musiał się wstydzić wobec Tarnowa, gdzie Jeża przyjmowała na pe-

ronie rada miejska, przyjmował „Sokół“, żegnała licznie zgromadzona publiczność. „Nowa Reforma“ wyraziła się nazajutrz w wstępnym artykule o zjeździe literatów, że Jeż jest przedstawicielem demokracyi. Gdzież więc była demokracya krakowska, kiedy Jeż opuszczał kraj rodzinny, którego może już nigdy nie zobaczy. Och! ci jaśnie wielmożni demokraci krakowscy!!

Rada miejska uchwaliła złożyć kondolencyą u stóp tronu z powodu śmierci arcyksięcia Wilhelma. — Na scenie naszej występuje z wielkiem powodzeniem artysta opery Władysław Paszkowski. — Towarzystwo Szkoły ludowej uchwaliło wybudować szkołę w miejscowości Dołha Wojniłowska, w powiecie kałuskim, dla Mazurów, osiadłych tam niedawno wśród rusinów na rozparcelowanych gruntach dworskich. — Pierwsza djorama spółki artystycznej nie cieszyła się wielkiem powodzeniem.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LONDYŃSKA.

4. sierpnia.

(Koncert.... polski. Szczegóły i szczególiki. Słówko o kolonii i misyi polskiej. — Z literatury: o i à propos powieści angielskiego Zoli.)

Tak tedy odbył się koncert.... polski. Zbierało się długo na ten ewenement i co rok prawie w sezonowej porze wyrastała ta myśl jak jednodniowe kwiecie, aby uwiędnąć od pierwszego powiewu — zetknięcia się realnością. Prawdą a Bogiem urządzić koncert, doprowadzić dwóch naszych wirtuozów tak daleko, aby grali na jednym i tym samym instrumencie — to nie fraszka. Niezbędnem do tego jest firma, potężna doza dobrej woli, dobre podeszwy u butów, mnóstwo wolnego czasu i t. d. Z punktu bowiem wyradza się w tych razach bigos względów artystyczno-osobistej natury ze strony projektowanych uczestników, wśród których w łeb bierze śmiertelnik i jego zakusy. Należy się zatem słowo uznania hrabiemu Janowi Zamojskiemu i wielkopolance pani Zofii Pace za urządzenie „koncertu na kościół katolicki w wschodnim Londynie.“

Dla czego z afiszy nie dowiedzieliśmy się, że chodziło o polski kościół, powiedzieć nie umiem.

Wyraz „polski“ byłby może odstraszającym nad Sekwaną, ale nie w Londynie, gdzie w czasach porewolucyjnych obsypywano nas jak nigdzie łaskami, datkami i protekcyami — którą to zacność nieomieszkała wówczas wyzyskiwać bezczelnie garść darmozjadów i obieżyświatów, — a gdzie dziś zażywamy opinii wielce muzykalnych i uzdolnionych do języków t. j. w tych kołach, które wogóle wiedzą o egzystencyi zapomnianego narodu.

Mówiąc bez oświetlenia i upiększeń, z jakimi zwykle zagraniczni korespondenci opisują podobne „zdarzenia“ — wyznać muszę, że owocem zabiegów jest deficyt, nie zbyt wysoki, zważywszy ogromne koszta, ale zawsze nie zysk.

Pozostaje się pocieszyć faute de mieux tem, że mat nèe (12 z. m.) pod względem artystycznym wypadła — posługując się tabliczką predykatów pewnego ziomka, a krytyka teatralnego — dobrze, numer drugi. Patronami koncertu byli: arcybiskup westminsterski, kardynał Vaughan (który prócz taniego protektoratu nic dla misyi nie uczynił), bisku p. Portsmouth, księżna Newcastle'u, inni członkowie arystokracyi krajowej, dalej księżna Czartoryska, hr. Jan Zamojski i hr. Ludwik Łubieński. Najpierw do szlachetnego instrumentu Steinway'a siadła panna Natalia Janoth'a i przeżegnawszy się zagrała Rondo Szopena na dwa fortepiany. Drugi fortepian grał pan Józef Śliwiński, który, mimo że nie był pianistą do jour od współudziału się nie uchylił. Ponieważ prócz uszu, widziałem się zmuszonym zabrać z sobą „z przyczyn od redakcyi nie zależnych“ — oczy, dziwiłem się gwałtownie dla czego zaszczycana przyjaźnią nieboszczyka Tennysona, grywająca czasem na dworze, czerwono ubrana, a rzemykiem przepasana artystka, kazała nam admirować swą możność czytania nut przez muślinową woalkę. Jako nie wtajemniczonemu w odzienie dworskiej etykiety, wydawało mi się w prostaczym umyśle, że okazya była dość dobrą, aby przywdziać jednę z świetnych swych toalet, a muślmy zachować na spacer. Z królów żadnego wprawdzie nie dostrzegłem.

W każdym razie żaden się ze mną nie witał. Egzekucya prześlicznego utworu, może trochę nerwowa, wypadła znakomicie. Wszelkie pochwały, jakiemi obsypuje utalentwaną kompozytorkę krytyka, okazują się uzasadnionemi.

Dzięki głębokiemu odczuciu, żaden szczegół nie zaciera się. Gdy pannę Janothę zabolał palec, p. Śliwiński wykonał w miejsce drugiego programowego numeru utwór Szumana bez przeżegnia się, a z właściwą sobie precyzyą. Broniś Huberman, ładny i sympatyczny chłopczyk z charakterem twarzy zdradzającym semickie pochodzenie, zagrał z wielką brawurą koncert Wieniawskiego, mile łechcący polskie ucho, oraz Nokturn Szopena i Ave Maria Gounoda.

Ostatnią sztukę okompianował mu hrabia Jan Zamojski. Część wokalną wykonały bez woalek pani Maria Duma i Miss Beata Francis; oraz tenorzysta p. Dudley Buck i — Edward Reszke. Okazałego postawą o wielce sympatycznej twarzy basistę, przyjęła publiczność owacyjnie. W obec cudownego odśpiewania aryi z Ernaniego Verdiego i z l'Etoile du Nord Meyerbera wypada pióro i ustaje krytyka. Oczywiście kto miał uszy klaskał bez końca i nie obyło się bez dodatku.

W pośród zebrania dostrzegłem wielu nie zamożnych członków kolonii, ale świeciło nieobecnością Towarzystwo przyjaciół Polski, które jednakże jako de facto dobroczynne, przyczyniło się zapewne do sprzedaży biletów. Niemniej spodziewam się, że niezapomnieli o misyi polskiej dwaj tu obecni artyści — milionerzy Jan Reszke i Paderewski.

Kolonia tutajsza sięga niezawodnie cyfry dwóch tysięcy nielicząc w to tysięcy żydów, którzy przez pierwsze miesiące pobytu na ziemi angielskiej umieją jeszcze po polsku, a później tytułują się Poles. Składa się ona z robotników fabrycznych i rękodzielników, a mianowicie krawców, wyrobników lasek, parasoli i bambusowych artykułów galanteryjnych. Nie brak w tej liczbie żywiołów z arcyburzliwą, lub niejasną przeszłością. Z takich to zapewne rekrutowały się „bandy“ polaków, którzy w ostatnim strejku w Chicago pospołu z bratankami węgrami wsławili się burzeniem relsów kolejowych i t. d. jak nam o tem donosiły miejscowe gazety.

Londyn bowiem, jest lepszą kryjówką od czeluści na Łysej górze z powodu swego ogromu i braku wszelkiej kontroli policyjnej

Pobyt na obczyźnie w ogóle nie wpływa dodatnio na proletaryat polski. Jako wpływ cywilizacyjnie młodego narodu, nie ma on dość samoistności, ani siły odpornej. Zaczyna od bezkrytycznego, bałwochwalczego uwielbienia dla przybranej ojczyzny, instytucyi i ludzi, a kończy na przyjęciu od tychże złych nałogów. Kolonia nie przedstawia się zatem wcale powabnie.

Donosiły nam też rok temu gazety skandaliczne szczegóły z życia robotników w Silverstown [przedmieście], które jaskrawe i drastyczne rzucają światło na tryb ich życia. Potrzeba przeto księdza i to człowieka, któryby zdawał sobie jasno sprawę z wielkości i szczytności swego powołania i zajął się wychodźcami szczerze i z poświęceniem. Mamy nadzieję, że trudnemu zadaniu temu podoła ksiądz prałat Bronikowski.

Nie tyle zapewne chodziło urządzającym koncert o kościół, ile o zapewnienie bytu księdzu, który polega na niepewnych datkach nie zorganizowanych Polaków i Litwinów i składkach z kraju płynących.

Wprawdzie kościółki żelazne, jakimi posługuje się często kongregacya duchowa, nie są zbyt kosztowne, lecz na cóż obarczać nim i czynszem gruntowym biedną kolonię? Rozumiałbym potrzebę tegoż, gdyby kościółek taki służył zarazem za salę do prelekcyi i różnych celów edukacyjnych świeckich, jak to dzieje się w podobnych kościołach Wesleyan'ów. W tym razie własny kącik mógłby oddać wielkie usługi i przyczynić się do uratowania wielu jednostek od zagłady moralnej. Nie mówię narodowościowej, bo dziewięć dziesiątych wychodźców jest dla kraju zupełnie straconych i nie przedstawia wielkiego dlań uszczerbku. Jeżeli chodzi o nabożeństwa i kazania tylko, to odbywają się one obecnie w kościele dogodnie położonym. Niezawodnie rozsiągnał ks. prałat także opiekę swą na Silvertown. Skarbnikami misyi są hr. Łubieński i p. Pace.

Jeżeli weźmiemy przeciętną dziewczynę z ludu miejskiego, przegotujemy jej bieg życia à la Zola, oczyściwszy poprzednio kocioł z pornograficznych naleciałości i wrzuciwszy weń odrobinę leczniczych ziół Bourgeta i to Bourgeta żonatego, autora La terre promise, przecedziwszy przez muślin temperamentu angielskiego, a więc w gruncie optymistycznego i podamy potrawę na bezpretensyonalnym lecz czystym półmisku — otrzymamy Esther Waters powieść Jerzego Moore'a. Głośne to dzieło jest szeregiem drobnych, charakterystycznych obrazków społecznych, związanych w jednę nierozerwalną całość, oplatanych wkoło smutnych wypadków szarego życia Estery. Współczucie i interes nasz towarzyszy prostej dziewczynie wszędzie.

Autor wprowadza nas naprzód do wielkopańskiego domu, gdzie Estera jest pomocnicą kucharki; skreśla dzieje jej miłości, upadku, opuszczenia, dalej powrót do miasta, połóg w szpitalu, zachody około wyswobodzenia ukochanego dziecięcia z rąk płatnej od sztuki fabrykantki aniołków, nędzę służby w kilku domach, zaręczyny z członkiem Armii Zbawienia, spotkanie niewiernego kochanka, wreszcie ślub z nim, pożycie małżeńskie, śmierć męża i ostatecznie przytulenie do pierwszej swej chlebodawczyni i pociechę z syna.

Dzieje sympatycznej dziewczyny to szkielet powieści tylko. Irlandczyk nasz przedstawia całą sferę służących drobnych kramarzy, całą galeryą wykradzioną życiu typów brukowych i napiętnowuje metodą objektywną, wolną od uprzedzeń skrajności i lamentów, straszną plagę nurtującą od góry do dołu społeczeństwo angielskie — hazard. Ton ten jak wagnerowski Leitmotiv przebrzmiewa przez książkę. Zaraźliwa i nieubłagana ta choroba zabiera matkom synów, żonom mężów i sprowadza ruinę materyalną i moralną na niewinnych.

Ludzie ci upojeni narkotykiem, jakim jest nadzieja wygranej, coraz to głębiej zanurzają się w błędne koło prognostyków wyścigowych i głusi na podszepty miłości i obowiązku staczają w przepaść.

Dramat ten jest tem straszniejszym, że — fatalistycznym.

Obłędem tym dotknięci nie mają żadnej broni przeciw nałogowi. Uczucia ich zbyt poziome, aby miały stanowić hamulce, poczucie moralne to istny błędny ognik, mózg zaś zaczadzony chmurą namiętności jakby morfiną preparowany odpowiednio. Hazard jest im potrzebny do życia jak pijakowi wódka, wpija się w organizm, wypiera dobre pierwiastki, spacza naturę i zabija.

Obraz ten szeroki i ciekawy w kolorycie i oświetleniu nie pozostawia wiele do życzenia. W Polsce powieść realistyczna, zwłaszcza gdy z pod niewieściego wyjdzie pióra, pozbawioną jest olympijskiego spokoju i psychicznego balansu, jaki zapewnia zdrowy organizm, lecz zafarbowana newrozą i objawami nieuleczalnej patologii mózgowej, rozczochranej skrajności, często brudnem wyuzdaniem i oświetlona jaskrawym, demonicznym bynajmniej nie realnym blaskiem łuny.

W atmosferze tej oddychać niepodobna. Przygniata ona pierś jak w Intruzie lub Ślepych Maeterlincka. Jestto poprostu histerya. Nie dość mieć inteligencyą i twórczy talent, aby

stworzyć taką powieść.... I. M. trzyma cały obraz w należytej perspektywie, ustosunkowuje odzienie szarej barwy z wielką miarą artystyczną, opanowuje silnie wodze subjektywnych popędów i nie daje sprowadzić się z wytkniętej drogi.

Jego zwierzę ludzkie nie jest ani bydlęciem, ani zgangrenowanym produktem skrofułu, lecz dobro-złem zwierzęciem-człowiekiem, którego wolna wola jest wynikiem instynktu, ale którego instynkt nie koniecznie jest wytworem pierwiastku zła. Czytelnik wynosi z książki ogromne wrażenie prawdy. Bywa wszakże, że w realistycznych dziełach najprawdziwsze szczegóły składają się na przecholowaną całość. Wadliwości tej, cechującej Zolę, autor uniknął dzięki temu, że obraz swój odsłonił w większem oddaleniu. Gdyby podsunął go nam pod sam nos, mimowoli zobaczylibyśmy go przesadzonym, pozostając pod wrażeniem rzucających się w oczy szczegółów. Przejrzystość swą zawdzięcza powieść nie mniej prostocie stylu, który bardzo często dziś jest zastępcą natchnienia. Ztąd mnóztwo beletrystycznych płodów wygląda na wypracowania. Elaboraty te pozostawiają nas chłodnymi jak ogórek. Znajdziemy w nich erudycyą, rutynę pisarską, ale nie talent. W Anglii wkradła się mania pisania powieści stylem felietonowym, który dobrym jest na właściwym miejscu lub w ulotnej nowelce. Duch mody każe wykreślać wszystko co samo przez się nie jest „smart“ — zgrabnem i ciętem i pozostaje szkic z fajerwerków. Traci na tem prawdziwa sztuka już dla tego, że gonitwa taka za błyskotliwością pozbawia płody fikcyjne największego wdzięku — szczerości.

Oczywiście szare życie Estery i otoczenia nie jest ani wesołem, ani — smart. Okoliczność ta wystarczyła pewnemu krytykowi fachowo literackiego organu, aby skreślić następujące curiosum: E. W. może usprawiedliwić swą egzystencyą jednym powodem. Być może, że posłuży za przestrogę służącej, która wystawioną jest na podobne tentacye. Lecz bodaj można oczekiwać, abyśmy dopuścili książkę do salonów ze względu na ewentualną korzyść pokojówek, które wolą ukradkiem czytywać powieści, jak zamiatać podłogę. Mniejsza, że krytyk powieści tej nie czytał, lecz słowa te bądź co bądź w ustach krytyka pozostaną — horrendum. Nie święci garnki lepią.

Nobody.

KRONIKA PARYZKA.

3. sierpnia.

(Paryż — Sahara. Leconte de Lisle.)

Paryż świeci pustkami. Trapiące nas od kilku tygodni iście senegalskie upały, wymiotły większą część tutejszej ludności daleko po za fortyfikacye. Kto tylko może dysponować kilku tysiącami lub chociaż tylko setkami franków, ucieka szukać chłodu nad morzem, świeższego tchnienia w lasach lub górach. W dzielnicach roboczych i kupieckich nie znać ubytku — brak pieniędzy i konieczność pilnowania interesów przylepiają biedaków do rozpuszczającego się pod operującem słońcem asfaltu. Smażą się więc z rezygnacyą stoicyzmu pełną, chłodząc wysuszone gardła cierpkim jabłecznikiem lub sprytowanem winem i sprawiając w niedzielnych wycieczkach w okolice miasta iluzye villegiatury. — Bogate quartiers za to, — quartiers szyku i elegancyi, zupełnie wyludnione. Park Monceau, zwykle tak ożywiony, dziś pusty zupełnie — otaczające go wille i kamienice śpią z zamkniętemi okiennicami. Przez pola Elizejskie ku laskowi Bulońskiemu, miasto modnych ekwipaży, błyszczących srebrem zaprzęgów, parskających rasowych rumaków, suną teraz tylko fiakry żółte, oliwkowe i czarne, ciągnięte przez chude melancholi pełne koniska. — Patisserye eleganckie, modne tea room'y, sławne kawiarnie — wszystko puste. Ziewający kelnerzy, którzy w czasie sezonu uwijają się z błyskawiczną szybkością wśród zajętych stolików, teraz usługują jakby od niechcenia rzadkiem gościom. — A i goście ci inny mają teraz charakter — nieprzypominający niczem modną klientelę zimową i wiosenną. To nie Paryżanki, strojne, żywe, wesołe — ale długie, sztywne, długozębne Misses, w męzkich półkoszulkach i lakierowanych małych kapeluszkach; to nie Paryżanie w błyszczących jak szkło cylindrach na czoło zsuniętych, w ubraniach bez zarzutu z białym gwoździkiem w butonierce, ale grubi i ciężcy profesorowie niemieccy lub amerykanie w kratkowanych kompletach i sukiennych szarych czapkach. — Gdybym wiedział, że ktoś z moich znajomych, nieznający jeszcze Paryża, jest właśnie na wsiadaniu do wagonu kuryera mającego zawieść go do „Ville-Lumière“ gotówbym przez czystą poczciwość serca odżałować franka i piędziesiąt centymów na depeszę: „Wstrzymaj się niebaczny — czekaj do jesieni“. Paryż latem to nie „Paryż“ — to nie to lśniące, wrzące, milionami żyć dyszące miasto. Paryż latem, to Sahara — pustynia — grób!

Nie wiem, czy to temu chwilowemu wyludnieniu Paryża przypisać tak tylko bardzo nieliczny udział w pogrzebie zmarłego przed kilkunastu dniami poety, Leconte de Lisle, — czy może tylko poprostu niepopularności jego dzieł, niepopularności, którą się zmarły głośno szczycił, drapując się w samotność swoją, jak w płaszcz królewski, ale nad którą podobno pocichu cierpiał głęboko? Tak jest, że wbrew recenzyom dzienników opowiadających o „tłumach wzruszonych“ które rzekomo odprowadzały zwłoki poety na cmentarz Montparnasse, tłumów żadnych nie było; była ledwie garstka poetów, przyjaciół i uczniów, garstka kolegów akademików, garstka czcicieli zmarłego. — Nad otwartym grobem pierwszy przemówił, w imieniu rządu, minister oświaty p. Leygues, podnosząc charakter niepodległy i bezinteresowny zmarłego — jego życie zdala od tych walk bez wielkości i chwały wstrząsających dziś najwybitniejszymi. W imieniu akademii francuzkiej pożegnał zmarłego p. Boissier, zdradzając się bardzo niefortunnie w swej mowie z nieznajomością dzieł poety. Jose Maria de Heredia rzucił wreszcie przed samem rozejściem się żałobnego orszaku, na pokrytą już na pół ziemią trumnę kilka głębokich, gorących słów uwielbienia, jak garść woniejących, wspaniałych kwiatów. — „Francya straciła ostatniego z swych wielkich poetów — nikt już nie podniesie berła, które zmarły przejął z mdlejących rąk Wiktora Hugo.“!

Leconte de Lisle jest bez zaprzeczenia ostatnim z orszaku wielkich poetów francuzkich tego wieku, liczącego w swych szeregach Musset'a, Lamartine'a, Beaudelaire'a, Teofila Gautier, Banville'a, Viktora Hugo. — Czuł on rozbrat między poetami i publicznością, widział, że skończyła się świetna epoka, w której poeci, czczeni i słuchani, wytykali natchnionemi słowy nowe szlaki ludzkości.

Teraz poeta stoi samotny — to co mówi, co czuje, co myśli, tego ludzie nie rozumieją, nie słuchają. Wzgardliwe wzruszenie ramion, to odpowiedź tłumu na pieśni.

W rozgorączkowanej, za złotem bożyszczem uganiającej się ludzkości nie ma miejsca dla poety, — pieśń traci tu racyę bytu. — Pozornie z wyniosłem lekceważeniem odwrócił się zmarły od ludzi — ale w głębi duszy to nieporozumienie, ten rozbrat stanowczy tkwił mu cierniem bolesnym. — Otoczony wybraną garstką literatów, uznany mistrzem przez kółko wielbicieli, powołany do zajęcia w Akademii osieroconego śmiercią Wiktora Hugo miejsca, zdawał się być zupełnie zadowolonym i niczego więcej nie pragnąć. Ci jednak, którzy go dobrze znali, wiedzieli jak go boli lekceważenie ogółu, jak go boli niepopularność i obojętność tych tłumów, o których sam mówił tylko z uśmiechem niewypowiedzianej pogardy. Gorzka, chłoszcząca bezlitośnie ironia, nie tylko słów jego, ale uśmiechu wązkich ust, spojrzenia głęboko osadzonych bardzo pięknych oczu, obejście dumne i wyniosłe, sarkazm raniący dowcipu — to wszystko z jednego wypływało źródła: czuć się wielkim poetą, a być niczem dla świata! Tego przebaczyć ludziom nie mógł; nie mógł przebaczyć, że nawet krytyka, zajmująca się tak często najlichszemi postaciami, jego dzieła pozostawiała w mroku i ciszy.

Wpływ Leconte de Lisle'a widać wyraźnie na pokoleniu młodszych od niego poetów. W lutni Armand'a Silvestra, Leona Dirxa, Jose Maria de Heredia, Sully Prudhomme'a, Copée'go Verlaine'a, Catulle Mendès'a słychać dźwięki strun Leconte de Lisle'a. Nie wszystkim tym poetom danem było wznieść się na takie wyżyny najczystszej poezyi, wszyscy jednak dążą do tego szczytu, gdzie stał ich mistrz.

Wszyscy oni uznają, że zmarły poeta, formą bez zarzutu, kolorytem silnym, złotą fantazyą, cudownem odbudowaniem dawno w prochu ległych bogów, mytów, dogmatów, legend i bohaterów legendowych, poezyę francuzką okrył nową chwałą i nowe w nią wprowadził życie. Na miejsce mitologii przestarzałej i wyczerpanej klassycyzmu, na miejsce feodalnej poezyi Wiktora Hugo, wprowadził poeta nieznane dotychczas w poezyi cuda tajemniczych kultów Skandynawii, celtyckich lasów, Indyi. Poemata jego, to marmurowe opoki, niewzruszone, wybranym tylko dostępne. Przetrwają one burze i lata. — Czy dzieła Leconte de Lisle'a doczekają się kiedy należytego uznania, czy będą popularne?

Wątpię. — Poeta wzleciał za wysoko nad poziom ogółu. — Popularnym nie będzie więc nigdy, po wsze jednak czasy, gdy nazwiska będące dziś na wszystkich ustach, dawno zaginą w pamięci ludzkości, on znajdzie zawsze garstkę rozmiłowanych w prawdziwem pięknie dusz, które go za wielkiego, wybranego „Mistrza“ uznawać będą.

Ay.

ZE SLĄZKA POLSKIEGO.

Charakterystyczną cechą wszystkich prawie piszących o Śląsku jest to, iż każdemu z nich się wydaje, jakoby reszta korespondentów nie posiadała dostatecznej znajomości omawianego przez siebie przedmiotu. I autor artykułów „Z Górnego Śląska“ zamieszczonych w nr. 172 i 173 „Gońca“, mianujący się rodowitym Ślązakiem nie ustrzegł się tej znamiennej cechy.

Mieszkaniec Wrocławia lub Raciborza przestawający w gronie równej sobie inteligencyi musi z konieczności inaczej pojmować i inaczej przedstawiać sprawy śląskie, niż to czyni człowiek osiadły w zapadłej jakiejś mieścinie lub na wsi i czerpiący jedynie ze siebie samego, i z otającego go ludu prostego. Obserwacye jedne muszą być odmienne od poglądów drugiego, lecz niekoniecznie muszą być jedne gorsze od drugich.

Autor rzeczonych artykułów dowiódł, że trudno przedstawić wszystko i wszechstronnie, zwłaszcza w ulotnych artykułach. Przewyższa może innych pod względem jasności sformułowania genezy przeszłości polskiego Śląska, lecz schodząc na czasy obecne pozostaje stanowczo po za drugimi we wskazywaniu, a co najmniej uzasadnieniu zalecanych przez siebie środków.

Apelacya do czytelników, aby po przejrzeniu pism śląskich sami ocenić zechcieli czy dobrze są redagowane i potępienie ich kierunku z zaleceniem założenia nowego pisma na nowych i odmiennych opartego zasadach, jest tak samo niezrozumiała, jak ów mniemany nowy kierunek, o którem autor tyle tylko wspomina, że można go z pierwszej połowy artykułu się domyślić. Może zapowiedziane na później wywody tegoż autora sprawę wyjaśnią i po imieniu nazwą braki obecnej prasy śląskiej, lub przymioty przyszłego organu! Na razie trudno się domyślić na czem autorowi zależy.

Można bowiem nie godzić się na kierunek „Nowin Raciborskich“, które zdecydowanie zwalczają asymilacyjne zachcianki pruskich kuryerów; możnaby żądać dla siebie lepszej strawy duchowej, aniżeli jest ta, jaką „Katolik“ swoim czytelnikom daje; można nareszcie i nieuznawać

godnej a skromnej postawy „Gazety Opolskiej“, lecz wszystko w czambuł potępić — nie uchodzi. Być może organ Bytomski po 50 latach swego istnienia powinien się był dawno dowiedzieć o tem, że nawet i jego czytelnicy z czasem postępując dziś lepszej mogą pragnąć polszczyzny, niż jej żądali w pierwszych latach po założeniu Katolika: również wcale a wcale nie można uznawać jego tendencyi zniżania się do poziomu ludu zamiast podnoszenia tego ludu do swego poziomu; rozpocząwszy przeglądanie „Katolika“ od strony jego 4tej, możnaby częstokroć dla mnogości ogłoszeń w niemieckim drukowanych języku pozostawać w niezgodzie z sobą, czy się trzyma w ręku gazetę niemiecką, lub pismo do niemczenia swych czytelników przeznaczone. Mimo tego wszystkiego śmiem jeszcze stanąć w obronie tego pisma, jeżeliby chciano ogólnie wziąwszy je potępić.

Pokaźna liczba abonentów, „Katolika“, która się zresztą bynajmniej nie obniża, dowodzi, że jest tu dostateczna ilość ludzi, którym „Katolik“ przypada do smaku. Co do niemczenia swych czytelników przez mnogie inseraty niemieckie — w tem już osobna polityka redakcyi czy też ekspedycyi. Trudno będzie przekonać redakcyą o racyi innych, jeżeli odpowie, że abonent tylko do trzech pierwszych stron pisma może mieć pretensyą, podczas gdy stronę czwartą li tylko ogłaszający opłacają i co za tem idzie, wyłącznie używać i czytać mają prawo. Jest to dedukcya w każdym razie osobliwa.

Braki wytykać i na lepszą drogę prowadzić jestto obowiązkiem wszystkich, którzy czują w sobie zmysł spostrzegawczy i dozę odwagi cywilnej do wypowiedzenia prawdy choćby osobom najbliższym.

Każde z wyżej wymienionych trzech pism nosi na sobie cechy sfer przez siebie reprezentowanych, jak zresztą inaczej być nie może, a w każdym razie jest każde z nich zastosowane do stopnia inteligencyi swoich czytelników i ilustruje jaknajzupełniej ich pojmowania. Pisma polskiego dla inteligencyi na Ślązku na razie nie mamy, lecz przyczyna tego spoczywa nie w nieudolności tutejszych dziennikarzy, którzy dla ludu mniej wykształconego pracują, jak raczej w tem, że jak dotychczas nie było na Ślązku tyle inteligencyi myślącej i czującej po polsku, ileby było potrzeba do podtrzymania odpowiedniego organu, którego abonament z natury rzeczy musiałby być i droższym od dzisiejszych jednomarkówek.

Zbytecznem chyba osobno zapewniać, że i czwarte pismo, ile możności dziennik, z głodu tu nie umrze, tem więcej, jeżeli w skład jego redakcyi wejdą ludzie zdolni i sprężyści. Przy końcu XIX wieku czyny nie tak dalece oddalone od pomysłów zwłaszcza, jeżeli pomysł jak w obecnym razie nie grzeszy niemożliwością wykonania. Dopóki to nie nastąpiło, nie zaszkodzi z całych sił popierać tego co jest obecnie i obok korespondencyi do pism zamiejscowych, oryginalnemi pracami nadawać dzisiejszym jednomarkówkom takiego kierunku, jakiego pragniemy i jaki nam najodpowiedniejszem się być zdaje.

Chim.

KRONIKA LITERACKA

— **Cezary Jellenta**. Ideał wszechludzki w poezyi społczenej. Krakow. 1894. Skargi na czczość i jałowość naszego życia umysłowego, na przesadę krytycyzmu i brak ideałów, to od lat kilku ulubiony temat naszych feljetonistów i krytyków literackich. Nie da się zaprzeczyć, że w skargach tych wiele jest prawdy, że społeczeństwo europejskie zubożało w uczucia, fantazyą i ideały; ale nie można powiedzieć, aby ideałów wogóle już nie było.

Na miejscu i obok dawnych ideałów odnoszących się do codziennego życia, a najczęściej także do jednostki, powstał jeden ideał obejmujący świat cały, zbyt głęboki i wielki, aby mógł przyciągnąć do siebie bezmyślne tłumy łaknące zabawy i wzruszeń; a ideałem tym szczęście całej ludzkości, walka na życie i śmierć z siłami, które okuły człowieka żelaznemi okowy i stworzyły zeń niewolnika, — namiętna, a beznadziejna walka Prometeusza przykutego do skały Kaukazu z brutalną siłą gromowładnego Zeusa.

Wyjaśnić naturę, powstanie i rozwój tego ideału w społeczeństwie europejskiem, oto zadanie, które postawił sobie Cezary Jellenta w wymienionem na czele dziełku, przedstawiającem pierwszą część wyczerpującej pracy w tym przedmiocie; w zapowiedzianym zaś tomie drugim zamierza autor wykazać ten sam ideał w utworach spółczesnych poetów.

Zdaniem Jellenty nie jest poeta wytworem tylko warstwy ludzi, jak twierdzi Taine ani też „znakiem“ jej, jak dowodzi Henneguin, lecz przedewszystkiem „czarą, urną, w której się jak w zbiorniku krystalizują żywotne soki pragnień, kłamstw lub prawd społecznych“, albo mówiąc zwykłą terminologią, intenzywnem odbiciem swego otoczenia. Wykazując więc „prometeizm“, jak autor nazywa ideał wszechludzki, w dziełach poszczególnych poetów, wykazuje zarazem prąd panujący w społeczeństwie, pośród którego żyli. Pragnieniem zaś i ideałem naszego społeczeństwa jest żądza szczęścia i żądza siły. Ideał to niedościgły i sprzeczny z naturą ludzką, i stąd konflikt pomiędzy rzeczywistością a pragnieniem, walka namiętna z tą siłą, która nas stworzyła i ogranicza, bluźnierstwa miotane ku niebu.

Najsilniej i najgwałtowniej odczuł niewolę ludzką Byron, on też stał się ojcem prometeizmu w poezyi, a silny ciałem i wolą, niezadowalniał się pieśnią tylko, lecz starał się czynem także burzyć wszystko, co okuwa ludzkość w kajdany. Głębiej niż Byron odczuł niewolę ludzkości spółczesny mu Shelley, ale bez energii czynu, pieśnią tylko walczył o wolność, a czyn ograniczał się na jego własną tylko osobę. Natomiast nie zadowolnił się on samym tylko namiętnym protestem, ale umiał z teoryi przewrotu wyssać także soki czyste i więcej urodzajne. „Życie i dzieła jego nietylko były odbiciem ideałów, ale mgławicą tajnych pragnień doby najświeższej, jej najgorętszych tęsknot, jej bolów i nadziei.“

Ideały Byrona i Shelleya nie zamarły z nimi, lecz odbiły się na całej poezyi tego wieku. Ale zniżył się polot myśli, zmniejszyła się energia woli i pragnienia, i prometeizm skarłowaciał i wyrodził się w beznadziejny pesymizm i sentymentalny „Weltschmerz“.

Leopardi, który zdolnym był może odtworzyć w sobie i rozwinąć dalej ideał wszechludzki, zatrzymał się skutkiem nieszczęśliwych stosunków na urągliwej beznadziejności. L. Ackermanowa natomiast walczy eszcze pieśnią z wrogiemi siłami wszechświata, ale nowej myśli nie zdoła dorzucić do idei Byrona i Shelleya, i prometeizm jej jest tylko wzniosłym pesymizmem. O Zorilli zapomniał autor niestety.)

Nie podobna w krótkiej notatce rozebrać wyczerpująco dziełka Jellenty; zaznaczyć tylko należy, że przecenia ważność prometeizmu dla poezyi i nadto odurza się genialną fantastycznością Shelleya. Ale rzutkość i jasność myśli, siła i świeżość, jakby umyślnie zaniedbanego stylu i subtelność psychologicznych roztrząsań zapewnia „ideałowi“ miejsce w rzędzie najlepszych krytyk literackich: bo pominąwszy ostatnie kilka stronnic, jest dziełko jego niczem innym, jak podług oryginalnej metody przeprowadzoną krytyką poetyckiej działalności Byrona i Shelleya. — Możemy polecić je gorąco wszystkim lubownikom poważnej i głębokiej, a zarazem ciekawej i zajmującej lektury.

Farys.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Wojna między Chinami a Japonią zapowiada się na długo. Urzędnicy bowiem poselstwa chińskiego w Londynie umawiają sięz pewną wielką fabryką dział o dostawę rozmaitego materyału wojennego. Japończycy zwyciężają dotychczas. Wzięli okopy chińskie pod Chanhanem, na morzu zaś zdobyli trzy statki chińskie. W Shangaju przyszło do zaburzeń pomiędzy pospólstwem chińskiem a japońskiem. Chińczycy robią co mogą w obronie cudzoziemców, aby nie dopuścić wmieszania się obcych mocarstw. Mocarstwa ogłosiły swą neutralność w zatargu o Koreę. Jedynie Rosya zrobiła małe zastrzeżenie. Anglia zazdrosnem okiem spogląda na powodzenie Japończyków, którzy w ostatnim czasie stali się niebezpiecznymi konkurentami Anglików w handlu na Wschodzie. — Proces Caseria się skończył, rozprawa trwała 3 dni: przysięgli uznali oskarżonego winnym bez okoliczności łagodzących, trybunał skazał mordercę na karę śmierci. Po mowie obrońcy jego Dubreuila odczytano długie oświadczenie factum) Caseria pełne dzikich i szalonych sentencyi, a którego treść dokładną postanowiono zachować w tajemnicy.

Czytamy w „Kuryerze Lwowskim z dnia 8 sierpnia:

Nowi goście Wielkopolscy. Przybyli do Lwowa celem zwiedzenia wystawy naszej pp. dr. Bol. Krysiewicz, dr. Wład. Rabski i dr. J. Szuman, założyciele i współpracownicy „Przeglądu Pozn.“, jedynego tygodnika społeczno-literackiego o tendencyi postępowej i demokratycznej pod zaborem pruskim. Redaktorem tego pisma jest właśnie jeden z gości naszych, dr. Rabski, autor dramatu „Asceta“. Dwaj drudzy są z zawodu lekarzami, praktykującymi w stolicy wielkopolskiej. Bawią tu oprócz nich inżynier Rakowicz i sędzia Jagodziński z Szląska.

Teatr i muzyka. Wagner w zapomnieniu. Uwielbienie dla muzyki Wagnera w Niemczech słabnąć zaczyna. To też liczba członków „powszechnego stowarzyszenia Ryszarda Wagnera.“ w ciągu ostatnich lat dwu z 8965 spadła na 4988. Zaczęło upadać nawet wydawane w Bayreucie pismo p. t. Bayreuther Blaetter, a stowarzyszenie wspomniane nie chciał wcale pokrywać niedoboru wydawnictwa. Dopiero po czterogodzinnych naradach zdecydowano się na niedobory te przeznaczyć sumę 3.000 marek rocznie. Wobec upadania wagneryzmu, słusznie pyta się jeden z dzienników berlińskich: jak długo utrzyma się i owo stowarzyszenie?

— **Przyczyny idyotyzmu**. Uczony francuski, J. Voliin, wydał dzieło naukowe o idyotyzmie. Poczytuje go za szczyt zwyrodnienia, idącego „crescendo“ dziedzicznie. U rodziców okazuje się wylew krwi do mózgu, dalej — zmiękczenie tegoż, u dzieci — paraliż ataksya; u wnuków zupełne ogłupienie. Choroby nerwowe, wywołane alkoholizmem, zranieniem mózgu, podagra, horoba cukrowa, prowadzą pokolenia stopniami do coraz większego zwyrodnienia, aż kończy się idyotyzmem, kretynizmem, który skażonemu rodowi kres kładzie. Idyotyzm można leczyć do pewnego stopnia. lubo to nie daje znacznych rezultatów. Zapobiegano zrastaniu się kości czaszkowych, ale dowiedziono teraz, że zrastanie owo to skutek, nie przyczyna. Leczenie jest fizyczne i moralne. Idyotów można nauczyć tylko czystości, kilku słów, dodawania i odejmowania, oraz niektórych robót domowych.

Odczyt o Sienkiewiczu. Niedawno w Charkowie profesor L. Szepielewicz wygłosił odczyt publiczny o „Bez Dogmatu“ Sienkiewicza. Skreśliwszy charakterystykę Orzeszkowej i Sienkiewicza, jako autorów polskich, najlepiej znanych w Rosyi, prelegent zauważył, że popularność swoją wśród publiczności w Rosyi autor nasz zyskał szczególnie po wydaniu „Bez Dogmatu“. Romans ten, według zdania p. Sz., znajduje się w ścisłym związku z prądami literackiemi, panującemi w Europie, a mianowicie ze zwrotem w stronę czystego idealizmu. Życie Płoszowskiego podzielił prelegent na dwa okresy: w pierwszym bohater Sienkiewicza jest sceptykiem-obserwatorem, w drugim zaś powoli pozbywa się swego skeptycyzmu. Dogmat w pojęciu Sienkiewicza prof. Sz. określił jako „powszechna kierownicza zasada moralna, nie podlegająca dowodzeniu.“ W ostatniej części swego odczytu prelegent porównywał Płoszowskiego i Anielkę z Raskolnikowem i Sonią z powieści Dostojewskiego „Zbrodnia i kara“ oraz dzieje ich życia z „Cierpieniami Werthera“: w końcu zaś wygłosił przekonanie, że dalszy rozwój charakterów takich, jak Płoszowski, pozostanie bez żadnego śladu w literaturze: „Jeśli ukaże się potomek Płoszowskiego w prostej linii, niepodna będzie o nim nic powiedzieć. Tu w życiu towarzyszyć mu będzie milczenie“.

Zmarli:

M. Lesonna, profesor anatomii porównawczej i dyrektor instytutu zoologicznego umarł w Turynie.

Łucyan Kwieciński, jeden z najwybitniejszych artystów sceny polskiej, w końcu dyrektor założonego przez siebie teatru stanisławowskiego imienia hr. Fredry w Iwoniczu.

Jan Lissowski, założyciel i kilkoletni redaktor i wydawca „Gazety Olsztyńskiej“, zmarł w Olsztynie, licząc lat 42.

BIBLIOGRAFJA.

Dr. G. Blatt. Gwara ludowa we wsi Pysznica. Kraków 1894. Cena 1,40 mr.

Leonard Lepszy. Wspomnienia pośmiertne o ś. p. Józefie Lefkowskim. Kraków 1894. Cena 0,60 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Z. Was. w W. Za wskazówki dziękujemy, będziemy się starali do nich zastosowac. Wzmianka doszła nas zapóźno, umieścimy ją w następnym numerze.

Histerykowi. Grozić zemstą cechuje małość charakteru; — pogróżki zaś niespełnione dowodzą tylko bezsilności.

Sprostowanie.

W Wierszu „Przy szumie drzew“ w nr. 19 na stronie 3, 6 wierszy z góry łamu drugiego mylnie przeniesiono w to samo miejsce łamu trzeciego i odwrotnie. Do numeru niniejszego dołączamy jak dodatek początkowe 6 wierszy łamu drugiego i trzeciego w należytym porządku. Nalepiając obcięty tuż przy druku dodatek we właściwem miejscu, wiersz cały dopiero zrozumieć można.

W artykule z Wörishofen, zamieszczonym w nr. 19 naszego pisma, na str. 9 w wierszu 16 z dołu w szpalcie 2 zamiast bawarskiej powinno być lekarskiej, na tejże stronnicy w 3 szpalcie, w wierszu 22 zamiast niedorzecznego romantyzmu powinno być niedawnego romantyzmu.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.